

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



biedne dwunożne mgły



# krzysztof gąsiorowski

biedne dwunożne mgły

WIERSZE Z NIEOPUBLIKOWANYCH TOMÓW:

„Kirke”, „Cztery tysiące lat snów erotycznych”  
„Treny boże”, „Gorgona, mamka bogów”, „Gemmy w kości  
policzkowej”, „Moja stara, naga maszyna do pisania”,  
„Panienki na imieninach”, „Pijaństwo z rudą”, „Dwa  
gołębie temu” (aporie), „Pasterz kryształu” (S.F.)

WYBÓR AUTORA I EWY POŚPIECH

TOWER  
PRESS  
Gdańsk 2001



Opracowanie graficzne  
**Tomasz Bogusławski**

Redakcja  
**Antoni Pawlak**

Korekta  
**Zespół**

© Krzysztof Gąsiorowski & Tower Press, Gdańsk 2001

ISBN 83-87342-38-6



Tower Press, Gdańsk 2001

Ta książka nigdy by nie powstała,  
gdyby nie Ewa.  
Te wiersze by zginęły, nie umiałem  
już do nich się przyznawać,  
kilkunastu w ogóle bym nie napisał...  
To tyle.

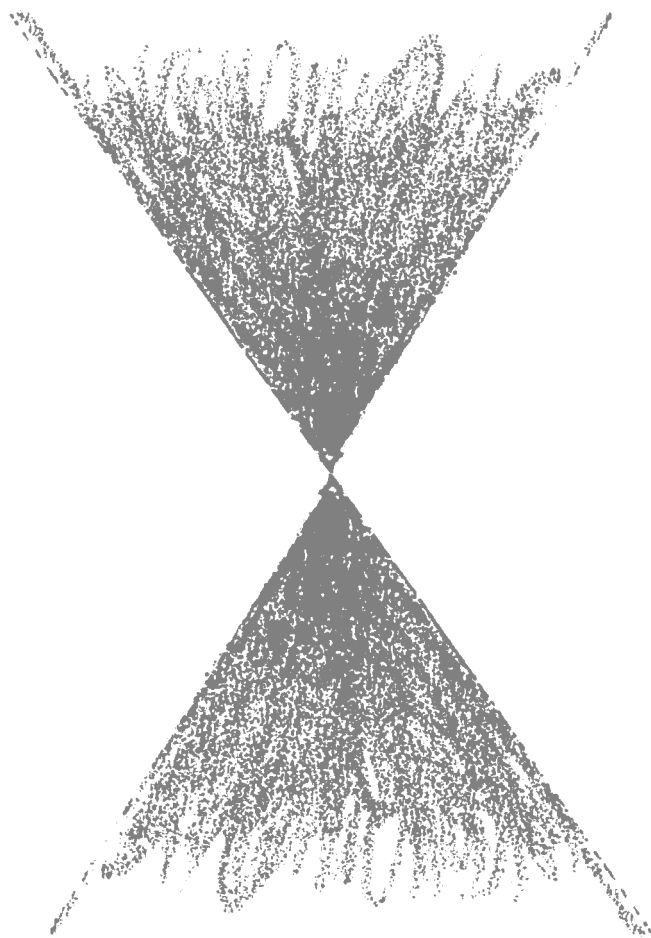
PS Niestety, nie udało się nam odtworzyć porządku  
chronologicznego tych wierszy, a miałyby on swoją własną,  
ukrytą logikę Losu.



dwa  
gołębie  
temu

\*\*\*

Pomiędzy, czyli iskra; w świetle iskry; w oczach błyskawic...;  
pomiędzy istnieniem i nieistnieniem, pomiędzy nie zaistnieniem i  
zniknięciem,  
narodziny jako zmartwychwstanie;  
pomiędzy możliwym i niemożliwym, pomiędzy bytem i świadomością,  
pomiędzy  
podmiotem i przedmiotem, pomiędzy ciszą i milczeniem, pomiędzy  
milczeniem  
i słowem, pomiędzy myślą i czynem, pomiędzy tobą i mną...;  
pomiędzy skończonym i nieskończonym, pomiędzy przeszłym i przyszłym,  
pomiędzy  
wiecznością i nieśmiertelnością, pomiędzy ciałem i duszą, pomiędzy  
egzystencją  
i esencją, pomiędzy pragnieniem i spełnieniem, pomiędzy światłem i  
cieniem...:  
Różnica, Brak, Nieobecność... Ach, wypełnić te przerwy –  
wobec ognia i horyzontu, wobec wody i luster, wobec kamienia i gór, wobec  
doliny  
i włosew, wobec deszczu lub rzeki, wobec morza lub gwiazd, wobec  
kwiatów i drzew,  
wobec ptaków i ryb, wobec kolibra i tygrysa, wobec wieży i studni, wobec  
siebie i  
ciebie, wobec kobiet, i dzieci, i mężczyzn, wobec wobec...



cztery tysiące lat  
snów erotycznych



## Cztery tysiące lat snów erotycznych

Jakby jaskinia. Lub krypta. Albo sen.  
W każdym razie na pewno – wewnątrz. Nie wiem,  
gdzie jestem i kiedy.

Bo te kaganki oliwne można tu było skądś  
przynieść;

nie rozeznaję się też w aromatach,  
nie znam dziejów kobiecych woni – nie wiem,  
w jakich pachnidłach gustowały  
ongis pięknotki...

Lecz pełgające tu światło obnaża –  
wiotką, ciemnoskórą kobietę z rozłożonymi  
nogami,

a jej wilgotny srom jest na wpół przesłonięty  
starannie uwitą w warkoczyki z wplecionymi  
paciorkami

misterną fryzurką wstydlivej starożytnej  
Egipcjanki.

Pieką mnie wargi, podchodzą krwią  
ukąszenia na szyi i piersiach. Boję się  
zamknąć oczy

i zapaść w czeluść wszystkokrotną.

## Io

To jest Io. Io zna cenę  
dobrodziejstw, jakie rozdziela.

Dzisiaj zechciała, łaskawie,  
pozwierzać się z bezceństw.

Jeszcze w studenckich czasach,  
opowiada, po jakiejś zabawie,  
zostałam w akademiku  
z pięcioma kolegami. Nie miałam  
doświadczenia, bardzo mnie  
wymęczyli.

A jednak, o świtaniu,  
kiedy to, syci grzechu, chłopcy  
zasnęli, wyszłam.

Tłum sunął ulicami.

Patrzyłam nań z wysokości  
swych ekstaz. I mówię ci,

czułam się Wielką Królową  
Mrówek.

## Kobieta z różowych jaskiń

Byłem! Bardziej  
niż wstrząsająco. A jednak  
zazdrościłem tej kobiecie  
wokół, i pode mną.

Kobiecie z różowych jaskiń!

Kwiaty, jakie wykrzykiwała;  
szepty jej traw; drżenia sarnich  
tropów, ciemne smugi opon  
na asfalcie...

Brała więcej, niż dawałem.

Terezjaszu, ty – co zaznawałeś  
obojga płci, chociaż na chwilę  
z tej nocy

– przemień mnie w tę kobietę  
z wilgotnych różowych jaskiń.

## Chudy podłotek...

Chudy podłotek chichoce...

Zapewne już miała miesiączkę,  
choć nie wygląda na to,  
taka chudzina ...

Drażni mnie ten chichot,  
chyba jeszcze nie jestem pedofilem;  
a zresztą, nigdy nie rozumiałem  
kobiet.

Biedne wy moje, tak starałem się  
być uczciwy,  
usiłując, niby jakiś lingwista,  
przyjąć was dosłownie. Słuchałem,  
co mówicie. Zamiast, po co!

Wasze wzgardliwe miny. Bolały  
mnie i drażniły, przez tyle lat.  
Nie domyślałem się, że to jest  
obrona...

Och, nie przede mną.

I ten wasz mądry smutek,  
kiedy to w pachnącej pianie  
moczycie, rozwinąwszy w wannie,  
zwoje swej białej skóry

pełne blizn, szram i śladów  
po snach o sabacie.

# Aga

*O Kasi G.*

Dwa szmaragdowe ognie  
w białym obłoku ciała.  
Nie ma Aga zielonych oczu,  
one ją mają.

Dwie przestrzeliny w ludzkiej  
skórze, widać w nich rozjarzony piec  
hutniczy jakichś tropikalnych  
lasów znad Amazonki.

Zielone płomyki odrywają się  
od jej twarzy. Wirują, rosna,  
wybuchają.

A wokół trwa noc i równina  
w śniegu i w girlandach świateł,  
rakiet i flar –

nieconych w odpowiedzi na  
zorzę polarną i ulewę meteorów.  
W czaszce krajobrazu, w  
jego północy leży maleńka  
naga Aga,

ze skrzyżowanymi na piersiach  
rękami – czeka na pocałunek,

który by jej oczy z zielonkawej  
poświaty lodowcowych okowów  
wyzwolił:

niechby uleciały w swą nieskończoność.

## Kto to?

Obłądny ognik  
na manowcach, szukający  
swojej pochodni?

Ogień, Agni, jest jednak  
rodzaju żeńskiego, jak wszelkie  
żywioty – kochaj, jeśli śmiesz  
sprawdzić.

Leży teraz, bezwładna, wypalona.  
Na skraju nocnego boru, który ją  
wyroił z koszmarów.  
Śpi nadal? W głębi krajobrazu  
dopala się wioska. Ważka  
przysiadła na jej wargach, rozchyła  
i składa niebieskie oczy. Ślimak

w swojej jamce ciszy pełźnie po udzie,  
śliniąc je jak długi pocałunek. Nimfa?  
Driada? Czy też zgwałcona  
i zamordowana podpalaczka?

## Śmierć jest kobietą

„Śmierć jest kobietą” – prastara  
metafora, której nie rozumiałem.

Dziewczynki, dziewczki, damy, matrony,  
staruszki... z kosą w łapkach, rączkach,  
rękach, szponach... – tak od wieków  
i na co dzień. Śmierć:

a niby – inicjacja, ponowne narodziny,  
przekraczanie w spaźmie granic żywego  
ciała...;

żąda wyjścia stąd  
poprzez tę samą, poniekąd zaznaną  
już bramę – róża mistyczna  
między rozchylonymi nogami, itd., itd.

Śmierć jest kobietą. Śmierć  
w ciąży. Te i inne duperele, wymyślone  
przez biednych ludzi, wstrząśniętych  
swą skończonością na siniejących  
paznokciach...

Oto szare listopadowe popołudnie,  
słońce łyse jak śpiewaczka, przystanek  
autobusowy w centrum miasta.

Tłok i wrzawa, jak w łóżku. I kobieta  
tak piękna, że – mieć ją nagą, rozgwieżdżoną  
nad sobą, lub pod sobą, to –  
zupełnie jak śmierć; nie do wyobrażenia.

\*\*\*

*pamięci Maryli L., raz jeszcze*

W czynie społecznym  
sadziliśmy na młodych gruzach  
młode drzewka,

a teraz park wieczorny  
tarza się tutaj w swych roślinnych  
wiecznościach,

jak gdyby tutaj nigdy nic  
się nie zaczynało.

Prawie trzysta tysięcy kilometrów  
na sekundę, i prawie trzydzieści lat...

– spróbuję to podliczyć:

ponad dwadzieścia osiem trylionów  
kilometrów stąd

znajdują się teraz nasze  
pocałunki, Marylko;

gdzieś w pustkach kosmicznych  
ogrzewają pył galaktyczny,

osypujący się później na planety  
bezludne –

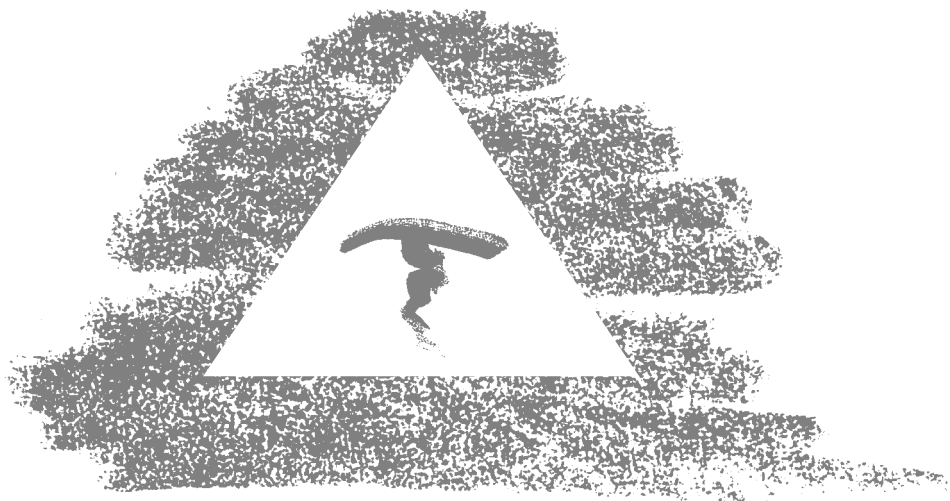
tam, gdzie teraz zapewne i ty  
przebywasz, Marylko:

bo umarłaś niedługo potem  
i zapomnieliśmy o tobie.



## Ślimak na szosie

Czarny, obśliniony ślimak  
na szosie, niby prostytutka Iza  
– nosi wszystko przy sobie  
w torbie; cały dorobek. Plus  
zapasowe  
majtki, wyjściową  
szminkę do ust i do warg  
dolnych; puder, paczkę  
kondomów z kremem  
do pupy...;  
oraz fotografię dzieciaka  
od sąsiadów dla  
sentymentalnych klientów.  
Śluz na asfalcie,  
sperma.



treny bože

## Treny boże

Rozrywali końmi,  
a przecież to strasznie boli,  
tak strasznie boli...

Wbijali na pał, krzyżowali,  
palili na stosie, łamali kołem,  
obdzierali ze skóry, ścinali toporem,  
ciągli piłami...;

a przecież to strasznie boli,  
tak strasznie boli.

Gwałcili, bili, morzyli głodem,  
ciskali na pożarcie lwom i szakalom...

...oszukiwali, zdradzali, porzucali,  
szydzili, nie kochali;

a przecież to strasznie boli,  
tak strasznie boli.

Rozerwany na gwiazdozbiory,  
mgławice, galaktyki; rozkładany na związki  
chemiczne, atomy, kwarki, kwanty,  
pola energetyczne...

a przecież to strasznie boli,  
tak strasznie boli.

O Święty Bólu, perło,  
dyjamencie, pąku, kwiatostanie... Ulgo.

Powrócę w siebie z tym łupem!

\*\*\*

To tylko nasza skończoność  
w czasie i w przestrzeni, nasza śmiertelność  
i względny ład otorbionych błoną komórek -

wymusza w umyśle, gdy rozmyślamy  
o nieskończonościach, jakąś ich ostateczną  
postać;

nasze myśli i wyobrażenia  
po prostu same gdzieś się tam kończą,  
jak gałęzie, łudząc się, że napotkały opór  
Obecności

- to tak jakbyś w ciemnościach i  
zadymce śnieżnej wyciągnął jak mógł  
najdalej rękę,

i sądził, że natrafiłeś na ścianę  
schroniska.

\*\*\*

Klejnoty królewskie,  
za które wszystko można byłoby  
nabyć –

nawet samotność, brak miłości,  
ciężką chorobę, nędzę, więzienie  
i śmierć...

schowane są w nocnych kryjówkach.

Może i można tam dotrzeć,  
pokonując koszmary senne;

niestety, święte jaskinie  
znajdują się na terenach okupowanych  
i strzeżonych nie tylko przez smoki,

także przez teologów.

\*\*\*

Późne popołudnie. Słońce na czworakach  
przeciska się przez ażurowe kraty w oknie,  
kładzie na środku pokoju i zdycha.

Świetlista skóra świętego poganina  
jeszcze przez jakiś czas grzeje mi oczy.

Sam na sam ze sobą, w całym przepychu  
wstrząsu. Biada ci, gdybyś ujrzął  
Boga Żywego.

Na ścianie – Krzyż, ten znak dodawania!

Życie plus Śmierć.

Te proste równoległe podobno  
naprawdę gdzieś zbiegają się,

i krzyżują.

Ofiarowanie się – zamiast składania  
ofiary? A jednak to też był bunt,  
a przynajmniej próba przejęcia  
inicjatywy.

Męka z drugą szybkością  
kosmiczną. Wreszcie słyszalne milczenie  
Bytu:

„Eli, Eli lamma sabahtani”.

Udręczona postać człowiecza  
wyłania się z nieludzkiej otchłani  
boskości – poród pierwszej Osoby!

Co jak co – ale już nie tak,  
jak za Hioba: może jeszcze nie umieranie,

lecz cierpienie umie być nasze.

## Spółka n.o.

To był zaiste nadludzki pomysł  
z tym Jezusem Chrystusem  
– ściągnąć Boga nieomal na Ziemię.

Nieomal, bo krzyż stoi wysoko.  
Najmniej ważne w tym wszystkim,  
czy była to, czy nie była postać  
historyczna.

Na pewno nie jedyna!

Ale dopiero wtedy i tam  
Słowo stało się Ciałem. Albo –  
odwrotnie.

Chociaż iskrzyło od zarania czasów,  
przedzierało się – poprzez glony, bakterie,  
gady jurajskie...

I nadal iskrzy, zapewne także w każdym  
z nas;

nie był to kaprys lub traf – to,  
co dokonało się na Golgocie.

A jednak zastanawiam się – nie  
nad tym, czy wolno, nad tym, czy  
warto nam wchodzić w bożą  
spółkę ( z n.o.).

## Postać w czerni

*Andrzejowi Waśkiewiczowi*

Samolotem. Z Warszawy, poprzez Rzym,  
święte miasto – do Bagdadu...

aby na jakimś festiwalu obejrzeć  
latające dywany,  
czyli starą poezję arabską, jej  
misterne ściegi.

Oto Istambuł, późnym wieczorem – oglądany  
z metalowego anioła:

starcze, kobieto rodząca, dziecko, mężczyzno  
z nożem..., któreś z was teraz umiera, i będzie zjedzone  
przez bogów.

Dawna stolica Wielkiej Porty od strony lotu,  
z nieba wygląda jak poczerńnięte złotogłowie  
na pewnym obrazie Rembrandta  
w Muzeum Narodowym w Bukareszcie –

pozbawiona twarzy postać w czerni  
zaczyna pochłaniać królową i jej koronne  
klejnoty.



## Starzejesz się stary...

Starzejesz się, stary – coraz częściej  
rozkwitają ci w oczach obrazy  
z poprzednich wcieleń,  
i jeszcze wcześniejsze (?).

Słowo „mistyk”, jak wiadomo,  
pochodzi od greckiego myein, co  
oznacza – widzenie z zamkniętymi oczami.

A naszło mnie dzisiaj nad ranem,  
choć Augustyn wspominał  
o „poznaniu wieczornym” – cognitor  
vespentin.

Przebudziłem się właśnie, i  
nie otwierając oczu – widzę to migotanie;

jak na telewizyjnym ekranie,  
gdy skończy się program i mży  
jedynie, już czy też jeszcze, promieniowanie  
pierwotne po Big Bangu...:

widzę ślady tego, co było  
przede mną i będzie za mną.

\*\*\*

Święty Grzegorz, Doktor Kościoła -  
ku przerażeniu mnichów, wężących Szatana  
we snach i w milczeniu,  
umiał czytać po cichu,  
nie przywołując zatem, już nie ucieleśniając  
Mowy.

I Mowa, której już nikt nie mógł,  
jak snów dopilnować,  
wymknęła się człowiekowi.  
I po przełamaniu świętych zapór i grobli,  
ruszyła na miasta i wsie,  
już bezimienna jak powódź, co niesie  
wzdęte zwłoki.

Zwierzasz się, a ja słyszę  
tylko to, co chcę Ci powiedzieć!

## Wieża

*– Hm, krew to tajemniczy płyn – Mefistofeles.*

Alegorią Historii mogłaby  
stać się ta odwieczna wieża  
więzienna,

pełna strzelnic i zakratowanych  
okien.

Głębokimi schodami, z zapomnianych  
katakumb i kazamatów wspina się w niej  
rok za rokiem, na przekór  
ciążeniu i śmierci,

czerwona strużka krwi, wciąż  
wzbierająca w tych lochach:

jak powój na ruinach, pnie się  
ku naszym czasom, zaglądając do  
strzelnic i okien –

widać w nich dziejące się nadal  
dawne i najnowsze rzezie i bitwy;

widać, jak użyźniają ziemię,  
jak napełniają piwnice tej wzniosłej  
wieży więziennej wciąż świeżą  
ludzką posoką.

## Larwa

Ciasne, zaniedbane lotnisko  
dla latających dywanów – sala  
szpitala w M.

Stara i wyniszczona, nolens  
volens, nowotworem Cyganka,  
zapewne matka roju,

w otoczeniu barwnej rodziny  
wchłania kolejnego kabanosa  
i popija sokiem z pomarańcz...

Cyganiątka wstrzymują oddech,  
zaraz nastąpi cud przeistoczenia:

pęknie łańcuch życia i śmierci  
– z pomarszczonej larwy wykluje się

motyl w przepychu kolorowych  
spódnic.

Patrzą, wstrzymując oddech –  
jeśli uda się matce, kiedyś uda się  
im!

## Kiriłow, czyli Wielkie Twierdzenie Gödla \*

Nie na darmo Jerzy G.,  
niezły poeta, tak się go boi.

Ten mądrała Kiriłow  
zapraǳął sprostać nicości!

A przecież prawie zawsze zostaje  
coś po nas: kość zuchwy, strzęp  
rozpędzonych poza śmierć włosów, dym  
choćby...;

milcząca pamięć pokoleń:  
skaza białkowa u prawnuka,  
odrobinę mądrzejsze atomy...

Bąbelki duszy długo  
unoszą się w górę, ku powierzchniom  
puchnącego wszechświata,

ku Bogu, tej ostatecznej Różnicy  
pomiędzy tobą a Wszystkim.

A nawet, gdy już nie ocalało  
nic, zawsze zjawi się jakiś Fiodor  
i napisze na nowo  
nasze zmagania z Nicością.

Nicość? Kiriłow zdawał się  
wiedzieć, że ona jest niczym węzeł  
gordyjski.

A przecież rozwiązał go.  
Niczym Aleksander Macedoński.

\* W każdym rozbudowanym i spójnym systemie logicznym przynajmniej jeden z aksjomatów nie da się wewnątrz systemu uzasadnić. Jeśli zatem istnieje świat, na co wiele wskazuje, i zarazem Wielkie Twierdzenie Gödla jest prawdziwe, a jak dotąd nie znaleziono w nim błędu, stanowi ono coś w rodzaju formalnego dowodu na konieczność istnienia Transcendencji, patrz św. Tomasz : „wszystkie rzeczy odsyłają poza siebie”. A Jurek Górzanski napisał przejmujący wiersz o Kiriłowie.

# Arka

Stary i mądry Noe  
widząc opadające wody Potopu,  
upewnił się w wierze,  
że doświadcza zmiłowania i łaski.

A przecież gniew boży nadal  
srożył się wokół. Tyle że karę tym razem  
miały ponieść ryby.

Być może za to, że odmówiły i  
nie wpełzły do Arki.

Dla ryb Potop trwa nadal,  
musiały się doń przystosować.

Pan odebrał im mowę,  
żeby się nie skarżyły;

szlochają od razu całymi oceanami,

ale wciąż gestykulują  
odmownie.

\*\*\*

Ciężkie, miodowe złoto  
na niebie i na wietrze, i na chmurach. Już  
zachód: wielka pszczoła wraca do ula.  
Ćma zbiera się w zaroślach i zaułkach,  
zaraz wyroi.  
Jak w każdą wiosnę wieczoru –  
zakwitają sady gwiazd nade mną.  
Czarny ogrodniku,  
wciąż to samo od lat kilkudziesięciu:  
o świcie wzbiera wielka pszczoła, przed  
zmerzchem znika, i znowu sady gwiazd  
kwitną..  
Wielkie oszustwo, chyba że to ja  
jestem tym owocem, który zrywasz i  
troskliwie, przy muzyce układasz  
w skrzyniach.

## My, Jego czułki i parzydełka

Obrazy ślepców, śpiewy  
głuchoniemych, wonie bez woni,  
rzeźby nienamacalne...;

coś tu z męki Tantalą, albo  
z marzeń Aniołów (biedne wy, moje).

Kamień,  
co sam w sobie utkwiał,

(to jeszcze daje się jakoś  
uzmysłować).

Ale Bogu dostępna jest jedynie  
Trwoga, jeśli dostępne jest cokolwiek.

Tylko dlatego nas stworzył. Litości  
dla Boga!

Zobacz, myślę ku Niemu, patrząc  
dookoła: jaki piękny dziś wieczór.  
Czujesz, jakie ona gorące ma usta?

Domyślam się, toutes proportions garde'es,  
co Ty tam musisz przeżywać.

A teraz? Boli? Boli. Dla Ciebie  
zapewne to wspaniałe uczucie.

Pij, pożeraj mnie wolniej,  
aby Ci na dłużej starczyło.



## Nike z Samotraki

Czy to dopuszczalne – tak podniecać się,  
wzburzać, pocić, przerażać, zapadać  
w bezdenną bezsenność... przy rozwiązywaniu  
wzorów matematycznych, rozmyślaniu  
o zagadkach kosmologicznych, śledzeniu  
eksperymentów chemicznych, a nawet  
podczas żeglugi na archipelagu Pascala...,

przecież to nie dusi, nie boli, od tego się  
nie umiera?

Nie powinno więc porażać i dławić. Co  
ci do tego, że jakiś pulsar kręci się trochę  
za szybko, że coś za mało tej ciemnej  
materii... Co ci do tego.

Ktoś z przejęciem ci opowiada,  
że dzisiaj długo i wysoko latał w muzyce,  
albo wspinał się na strome wiersze...;

śniło się to mu zapewne, albo  
oszalał. Co ci do tego.

Raczej zagryź jęczące skrzypce,  
odwłachaj olejny pejzażyk z nagimi  
dziewczętami, rzuć książką do celu  
w konkursie z nagrodami, obsikaj  
pobłażliwą Nike z Samotraki –  
przeżyj wreszcie coś prawdziwego.

\*\*\*

*„Nie możesz na mnie liczyć,  
nie będę się bronić.”*

B.Sadowska

Dlaczego nie zdołałeś  
dotrzeć do swoich demonów –

do kłamstw, zawiści, mściwości,  
bezwzględnej walki o swoje...,

gdzie one skryły się w tobie  
i uśmiercają cię z wolna,

bez szans obrony.

Może jeszcze się uratujesz,  
mój biedny stary chłopcze; ćwicz się

w niechęci i pogardzie,  
masz do nich prawo  
naturalne – odżyj w odruchach  
ciemnych popędów.

## Zygmunt i Oła

Mój wuj, Zygmunt, tęgi,  
postawny mężczyzna, rzeźnik  
z powołania i zawodu

umarł był na serce kilka  
dni temu. Jego mięso nie chciało  
stężeć, wciąż było ciepłe.

Wdowa nie wierzyła, że umarł.  
Ostrzegaliśmy, lecz otworzyła trumnę  
na pogrzebie:

kałuża. – Zygmunt – była kobieta.  
– Zygmunt, co ci się stało, co  
się z ciebie zrobiło!

Ale zdarzają się łagodniejsze  
twarze czasu i śmierci. Oto  
spotykam na ulicy po latach  
osobę,

w której się kiedyś bałem zakochać,  
była tak piękna, miała lepszych.

A teraz idzie ku mnie, uśmiechnięta.  
Olu, Olu, co się z ciebie zrobiło.

## wybrałem

Moja wizjo świata, moja  
nieuchwytna, wieloznaczna, pełna  
sprzeczności ideo – wybrałem ciebie,  
będę wierny.

Wybrałem, w wolnych  
i niewymuszonych rozterkach,

wybrałem, ale doprawdy  
straszliwie małą większością  
głosów wewnętrznych.

## Ale nie na pewno

*„Gdyby nie ból, życie  
byłoby pustynią.”*

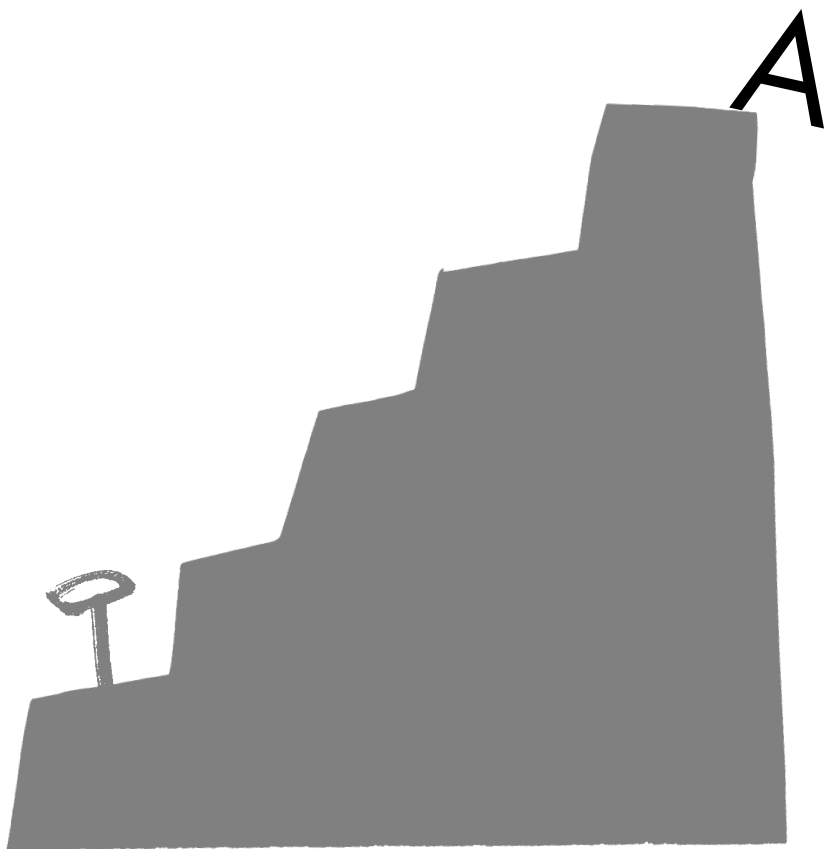
W. Gombrowicz

Udręka.  
I tu już trzeba być  
nieustępliwym

– nie przeproszać. Nie  
czuć się winnym... Coś  
musisz mieć.

Udręka. Jedyna,  
już ostatnia moja metafizyczna  
ostoja. A choćby i  
pułapka

na to wszystko.



moja stara, naga  
maszyna do pisanja

## Bajka o kózce i wilku

Nie tylko to, co już wiesz,  
nie tylko tak, jak ty chcesz,  
moja kózko;

nie tylko z twojego okienka  
widać podwórko, z mojego też.

Ty widzisz budkę z liści, i  
wilka z zieloną sierścią, żrącego  
dymiącą trawę i jakiś błyszczący  
klejnot...

złote rogi aż mu się trzęsą.

nie tylko to tam straszy,  
moja kózko, nie tylko to, co ty  
uwidzisz przez swoje okienka

w białorudym futerku! Nie tylko to  
i nie tylko tak, jak myślisz.  
I nie tylko po to

zjedli cię wczoraj Indianie.

## Przesady i zabobony

Dzieciak drze się w kołysce,  
miły czarnul z niebieskimi oczami,  
i biały ojciec jest dumny:  
oczy to ma po mnie.

Biała matka upiera się przy  
inkarnacji.

W obecnym ciele nie zadawałabym się  
z Murzynami, ale jakieś dwieście  
czy trzysta lat temu,

podczas safari, napadli mnie  
i zgwałcili rozbójnicy z Kenii...

Stare dzieje, milczałam,  
abyś nie rozgniewał się na umarłych  
przed wiekami,

to podobno przynosi pecha.



## Rokoko

*„Na miękkim puchu białego pośłania  
promienna cała od słońca pozłoty..”*

K. Przerwa-Tetmajer *Danae*  
(Patrz też wiersz T. Różewicza *Tetmajer*)

Taras pałacowy. W cieniu  
platanów, w jasnej, długiej sukni  
z koronek,

markiza na szezlongu  
przeciąga się, zmrużonymi oczami  
spoglądając pod słońce w stronę  
podjazdu,

skąd zbliża się powóz.

Jej oddech przyspiesza, poruszając  
cieniami liści na sukience, a uda  
rozchylają się jak białe skrzydła  
łabędzie

tam nad lustrem jeziornym  
w głębi pejzażu.

Lando, młody panek,  
stangret i służący, siwe, spienione  
konie...

– Czy Jaśnie Pani aby  
nie przesadza? – mruczy pod nosem  
zaufana dziewczka.

## Ƙret

Jasne, w stylu Empire, salony  
wysokopiennego lasu jesienią;

pomiędzy świecznikami i kolumnami  
drzew przechadza się słońce  
w długiej sukni i  
my, całkiem siebie jeszcze  
niepewni.

Nawet kret na ścieżce przez chwilę  
nas się nie boi.

Coś jednak zapewne usłyszał  
z naszej rozmowy, bo gwałtownie  
zakopuje się w ziemię,

rozgarnia łapkami, grzebie nosem...  
aż wreszcie znika w czarnej dziurze  
pośrodku salonu;

czerwienisz się: nasz spacer  
wcale nie jest taki niewinny.

## Perpetuum mobile jest jednak niemożliwe

Wiatr włóczy krajobraz,  
wypycha go za horyzont.

Ileż tego wiatru marnuje się.

Taki podmuch mógłby  
uruchomić tysiące wisielców  
na szubienicach, ciągnących się  
stąd aż po starożytność –

a pcha tylko widoki i  
obłoki,

zamiast dziejów.

## Słowo się rzekło

Co za piękne dziecko,  
takie nie pożyje długo;  
i Bogu coś się należy.

To już widać – jej oczy  
i włosy tak szybko rosną,  
chęć zdążyć; cała  
w rzęsach...

Moja ty sierotko biedna,  
chodź tutaj, dostaniesz cukierka.

Rodzice żyją? Nie  
dobrze! Oddaj cukierka,  
nie przeznaczony był tobie.

Ale słowo się rzekło, sierotko.  
Chyba będę musiał twoich  
starych zastrzelić.

## Ucieczka

Chyba nie umarliśmy,  
a nikt nam w to nie wierzy. Tylko  
dlaczego ścigają nas krety?

Jeśli uciekać stąd, to  
tylko do góry. I szybciej od wikliny.  
Samolotem! Lecimy, robi się  
coraz wyżej. Pilot  
raz po raz wychodzi pytać  
o drogę.  
A Nieba jak nie ma, tak nie ma.



Kirke

## Wiersz dopełniony po latach

Kwiat, który wtedy jej ofiarowałem.  
Kwiat ją rozpoczął.  
Kwiat, który umiałem.

Nie zdołałbym jej zauważyć;  
zbyt pięknej, więc oddalonej o tysiące  
wzruszeń nigdy mi dotąd  
nieostępnych – gdyby nie kwiat,  
żagłowiec.

Może bym wtedy nawet nie przystanął  
przed tą samotną w tłumie ludzi falą.

Niosłem ją później w oczach  
na wskroś spiętrzonego wieczoru.  
Ociężała. Podatną. Dławiącą  
jak pocisk.

Zginał się na niej każdy promień.  
Ta dziwka – była ze szczerego  
ołowiu, który się wolno we mnie sączył,  
aż zastygł w balast i wewnętrzny pomnik  
ciemno spełnionej kobiecości...

Dziś wiem, że wtedy też wiedziałem,  
i przez szczelinę kwiatu to widziałem:  
była w ciąży

## Kirke

J.

Całe dwa dni było nam dobrze  
ze sobą. Zakryłaś się kołdrą po oczy,  
nie możesz sobie darować;

nie pokochałaś nas, Kirke –  
to zawsze boli. Współczucie

przesłania mi moją udrękę i hańbę;  
kochałem, było mi nieco lżej.

Kirke, spróbujmy raz jeszcze. Dowiodę,  
że czar Twój działa.

Spiję się, nie pójdę do chorej matki,  
wygłupię publicznie... Odczujesz  
swoją siłę, czarodziejko.

Kirke, męczennico kocham Cię  
chyba za mało, bo wciąż mnie nie stać  
na każdy upadek.

Nie zadręczaj się, czekaj  
spokojnie, anioły już moje gniją, powoli  
ale przemieniają się w wieprze, zwyciężysz

na pewno. Nie płacz, staram się, Kirke,  
boginko z wyspy Ajaja.

1992



## Ona jest także

Nie ufaj, ani  
jej westchnieniom, ani jej  
przyjaciółkom.

Te zamglone uśmieški, nagłe  
zamyślenia... Ona nie kłamie, ona  
odwraca i swoją uwagę od tego,  
co chce przeżyć się samo.

Tak delikatnie wzdycha, że  
tylko jej cień ją słyszy. Nie wytrzymuje  
– wypęłza ponad trawę,

jak poduszkowiec, albo wąż biblijny.

W rozbłyskach termojądrowych eksplozji  
lipca jej cień słoneczny sunie ponad  
ziołami...,

ona zasłania go nagością.

Popatrz, ona także  
jest rzeczą.

Powinieneś to uszanować.

## Przebiśnieg i przylaszczka

Spotkałem, o świecie, w ogródku  
dwa słowa niesłychane, jedno białe,  
a drugie niebieskie – przebiśnieg i  
przylaszczka; przebiśnieg, i  
przylaszczka.

Nie są to, wbrew pozorom, imiona  
kwitnących dziewcząt, których mi  
wszyscy zazdroszczą; przebiśnieg i  
przylaszczka.

To raczej są nazwy jakichś  
tajnych aparatów do skomplikowanych  
zadań w dziedzinie przedwiośnia:  
przebiśnieg oraz przylaszczka.

Szamoczą się teraz i hałasują  
w wazoniku na stole.

Mały kwiatku, nawet ciebie  
nie jestem godzien. Wypchnęły cię  
na świat, na chwilę ciemne siły  
telluryczne – zakwitłeś... i  
spełniłeś co do ciebie należało.

\*\*\*

Dwa błękitne słońca  
nad lodowcami. Gigo, to  
nie jest nasza planeta.

Twój szloch roztrąca  
po pustkach, niby – bezsenna  
noc pascalska.

U ciemnych wież, pod  
zaćmionymi gwiazdami i oślepiłym  
okiem Opatrzności,

szamocząc się wśród pytań  
nierozstrzygalnych:

dlaczego, dlaczego płaczesz ?

Być ci potrzebnym, Gigo,  
nie jest to proste jak tyka  
grochowa,

wzdłuż której pięć się ma  
w górę byle jaka twoja  
rozpacz.

## Cztery izdebki...

Cztery izdebki, książki,  
sprzęty, wieczór z pęknięciem  
księżycowym – mój biedny  
Titanicu.

W radiu muzyka taneczna.

Wokół, jak sięgnąć  
pamięcią i wyobrażeniem, faluje  
wzburzony Los.

Moja góra lodowa  
leży już w łóżku;  
zakryta, jak należy, po  
czubek głowy.

Złodowaciały ogrom  
jej samotności pogrążony  
jest w ślepych żywiole  
i niewidoczny.

Titanicu, nie miałeś  
tu żadnych szans.

\*\*\*

Jeszcze przed świtaniem,  
oby cichutko, aby nie zbudzić  
dzieci i utyskiwać żony,

nie płosząc wiernego krzesła,  
co dotąd czekało przy biurku,  
aż zdrzemnęło się w drzewie,

wstać i podejść do okna i  
dotknąć ciemności.

A potem zawrócić do lustra  
i zobaczyć w nim – tę pustą noc,  
i pokój, i w jego ciemnych oknach  
za sobą jarzące się  
światelko.

I tak stać, nieruchomo,  
jeszcze przez chwilę,  
niemal wierząc,  
że lustro się zablizni.

## Park księżycowy

Ku jakim łądom nieznanym,  
nad jakie głębie, w jakie niepojęte  
ukrainy przyszłości...

prowadzę was teraz za rączki,  
dzieci moje?

Wzeszła wiosna, niedziela, okienko  
słońca uchylone, furtka wiatru otwarta  
i świat wydaje się nieco większy...

Pójdziemy do lunaparku. Będziemy  
się bawić. Pokażę wam karuzelę,  
huśtawki, gabinet krzywych luster,  
graniaste koło, wypchanego rekina,  
karła, kobietę z brodą...

Patrzcie uważnie, o wilczki, kiedyś  
będą to symbole i straszne metafory.

## Ona to milczy

Nie ustrzegłaś nas, pelargonio.  
A uwiązałam cię na straży u okna.

Naznosił tu zegarów i luster  
i podziurawił mi cały dom.

Jak ja mam żyć w takich przeciągach  
czasu i przestrzeni,

wciąż widzieć i słyszeć, że jestem  
i minę?

Po co mi to jeszcze  
wiedzieć, pelargonio? Spłoniesz  
za karę na stosie  
kwiatów.

Naznosił luster i zegarów;  
nie będę ich czyścić i nakręcać,  
niech śmierć pomyśli,  
że nikogo tu nie ma;

lepiej być tylko troszkę, niż całkiem  
umarłą.

## Śpiew śniegowego bałwanka

„...więc to nie była łąka.”

C.K. Norwid

Poniechałyście mnie. Czemu,  
tak pierzchłyście przede mną, bez pożegnania?  
A może jestem ja trawa – łąkę  
rosy? Byłyście garstką przepiórek  
– siałyście się nieopodal.

Aż umknęłyście. Ukradkiem.  
Nawet nie budząc łkaniem. A może  
jestem ja słowik i potrzebuję nocy? Byłyście  
kluczem żurawi, co otwiera wieczory.

Porzuciłyście mnie. Czemu? Pod  
stromą ścianą płaczu. Wy, moje łąki  
ostatnie. Przewodnik i powierniczka.  
Gdy nadążałem za wami, zwracałyście  
mnie światu.

Wy. Moje łąki żeglowne. Czemu  
mną pogardzacie, jak gwiazdy  
za horyzontem?

Wyprzedziłyście mnie? Dokąd?  
Zatarte ślady. Czyim jesteście dziś deszczem,  
czyimi rzekami? A może jestem ja  
ryba – nie wydeptałem ścieżki? I zbłądzę  
bez łąk.



\*\*\*

Przyjęło mnie życzliwie,  
acz bez ostentacji, gdy przyjechałem  
z dziećmi na całe lato.

Nie będę ukrywał,  
liczyłem na coś więcej. Bądź co  
bądź, morze, napisałem ci  
kilkanaście wierszy, wiesz

niewiele więcej o sobie.

Ta moja małostkowość;  
musiało minąć lato, abym zrozumiał:  
nie zwracałeś na mnie uwagi,  
żebym się przyznał

do śmiertelnego grzechu  
samotności. Morze, dziękuję.

## Zaćmienia...

Zaćmienia słońca, zaćmienia księżyca...

Jakże ja wam zazdroszczę, ciała i słowa  
niebieskie

– krążycie, oddalone przestrzenia śmiercionośną,  
każde osobne, jak człowiek,

a przecież obejmujecie się co jakiś czas,  
powierzacie się sobie,

wasze ciała i cienie mają coś wspólnego.

Moje słońce i księżyc właśnie  
popija kawę, i mknie samotnie poprzez  
karciany zodiak pasjansa,

tak całe dni, od wielu lat. Jej ciało  
i jej życie

uchylają się przede mną. Potem płacze.  
Przeraźliwa jaskrawość  
wzajemnej samotności – dotyk bez czułości  
i rozmowy bez zwierzeń:

zawsze obok. Zaćmienia słońca, zaćmienia  
księżyca. Jakże zazdroszczę wam, ciała, słowa  
i milczenia niebieskie.

## Chipsy

podpite  
dwanaście lat  
mojego życia

chichocze w kuchni  
z kochankiem  
mógłby być trochę  
lepsy

facet  
przynosi moim synom  
chipsy  
i chłopcy  
nie chcą obrażać matki  
jedzą  
a nawet  
nieśmiało próbują  
mnie częstować

właściwie nie chcę  
wiedzieć jak mam się  
zachować  
niezbyt to mnie już  
dotyczy

wygnałem go kiedyś  
ale dwanaście lat  
mojego życia śmiejąc się  
płacząc – krzyczy  
że było ze mną  
samotne

to akurat wiedziałem

jeśli ktoś kocha nie  
jest samotny  
bywa nieszczęśliwy  
a nawet śmieszny

## Co byś nie mówił...

Co byś nie mówił –  
one naprawdę cierpią, cierpią  
strasznie;

cierpią, bo ich nie kochasz  
tak jak tego pragną – a umrzeć za nie,  
to najmniej co tu można zrobić...

Nie ma szczęśliwych kobiet.

Co najwyżej, udaje się  
je zaspokoić, a i to zaledwie  
na chwilę.

One cierpią. Cierpią, kiedy są porzucane  
i kiedy same odchodzą. Kiedy bywają zdradzane i  
kiedy muszą zdradzać.

Cierpią, dręczone, bite, łzone  
i upokarzane. Cierpią, pławione, palone  
na stosach.

Cierpią, klute nożami, duszone,  
przebijane osikowym kołkiem...; naprawdę  
cierpią, wtedy też cierpią.

I nie warto tego sprawdzać.  
I tak niemal nas nie zauważają.

## Połczyn Zdrój

*(Hieronim Bosch, geniusz, uszczknąwszy co nieco  
Duchowi Świętemu nigdy nie umrze. Bóg, chcąc nie  
chcąc, musiał przyjąć go do swojej chwały. Hiero-  
nim Bosch już nie maluje, ale pozostając w sferze  
Mocy Stwórczej nadal płodzi swe stwory.)*

Piątkowy wieczór w niewielkim uzdrowisku,  
kolację można zjeść jedynie w restauracji  
z dansingiem.

Ciemność, tłok i wrzawa; na podium  
coś, co może przez lornetkę przypomina  
orkiestrę. Śpiewa miejscowa diva...

Kuracjusze i kuracjuszki tańczą  
taniec godowy. Przy stoliku obok wesołe  
panienki przekomarzają się z uwiązanym  
na złotym łańcuszku właścicielem  
kantoru...

Nie ulega wątpliwości – ktoś  
nami się bawi. Jakiś Bosch.

Nie wyróżniam się na tej sali, podpity  
i samotny. Na mnie też nikt nie czeka.

Moja człowiecza nędza  
polega i na tym, że chyba nie miałbym odwagi  
zakochać się w którymś z tych Żalów i  
Determinacji.

\*\*\*

Zmierzcha się. Młodej jesieni  
do twarzy w tych tiulach.

Cisza na śmiech kobiety  
o zielonych źrenicach. Tak, o to  
zdaje się chodzić tej porze dnia  
i roku.

Pośród 86400 sekund ostatniej  
doby jest to jedyny moment,  
kiedy nakładają się –

moje tętno i tętent rzeczywistości.

Widzę wyraziste, niestrawione  
światłem dziennym ułamki snów  
z minionej nocy

– może jeszcze zdążę je dożyć,  
zanim świat nie odtoczy się dalej.

## Już umie...

Już umie nie winić  
swoich kobiet. Miłość,  
bez urazy i nadziei.

Zgorzkniały, o posmaku  
poranka, po nie dającej się  
domknąć nocy; za duże, nieporęczne  
sny, papierosy...

Ma dość. Chce pogodzić się,  
już nie wystawać z zużytego  
życia,

ani na zewnątrz, ani  
do wewnątrz (Tao ?).

Cienki, tętniący jak puls  
lód – pokrywający wody ciemne  
na jeziorze w górach; o nim  
marzy –

godzina popołudniowa, może  
już wieczór, kiedyś to trwało tydzień;  
piękne udręki.

Ach, bez żalu.

## Ogłoszenie matrymonialne

*...a więc i ja doświadczyłem, i to na raz,  
obydwu ironii Cypriana Norwida:  
ironii wysłowienia i ironii zdarzeń.*

Włóczyłem cały dzień po mieście  
rzeczywiście nierzeczywistym (tak nic mnie  
z nim nie łączyło!, poza ewentualnymi  
zjawami...);

włóczyłem się, rozsiewając  
po zaułkach i skwerach i ukradkiem  
swój czas sprzeniewierzony,  
niby ulotki antypaństwowe lub bluźniercze,

bo szukaliśmy siebie nawzajem,  
lecz mój sobowtór gdzieś mi zapodział się  
w tłumie, drżała za nim jeszcze szkarłatna szrama  
neonu...

I przystanąłem przy słupie z reklamami,  
gdzie wśród nalepek i kartek znalazłem  
ogłoszenie matrymonialne:  
„nekrofil poszukuje partnerki”.



## Trywialne próby pojednania

Wytworny lokalik; intymność  
z odrobiną perwersji: muzyka,  
na stołach świece, tańczą taniec  
brzucha...

Aby uratować co jeszcze się uda  
wybraliśmy się tutaj. Też tańczymy,  
objęci, przytuleni, ale nie mamy sobie  
nic do powiedzenia,  
nawet się nie spieramy.

Nasze ciała też nie milczą ku sobie.  
Jej spocona skóra nie dymi,  
to się nie rozpali. W tym piecu diabeł  
dla mnie już nie pali. Jeśli nie będę  
trywialny, wybiegnę z tej sali.

1993

## Gałąź

Źle ci ze sobą? To się  
wymień na inną gałąź  
tego drzewa:

korzenie (w gwiazdach), ziemski  
pień, konary w wietrze,

liście, kwiaty..., (pszczoły).

Odetnij siebie, jeśli cię  
boli kilkudziesięcioletnia odrośl;  
zmień.

Wymyślisz sobie nowe  
liście, w innym mieście, i powiosłujesz,  
znowu..., w czas a w przestrzeń;  
w kobiece, w ciemne.

Siebie od siebie – odrąb,  
gdy się nie chcesz.  
I nie zwiędnie.





Gemmy  
w kości policzkowej

## Na śmierć świnki morskiej

Jedno jest pewne, staruszko  
– stało się zimniej i ciszej. I  
nie mam do kogo piszczyć.

Co nie oznacza wszakże, że  
reszta już będzie milczeniem.

Przeczy temu chociażby  
ten wierszyk, staruszko, i twoje –  
„może”!

## w ogrodzie

Wieczór; stolik w ogrodzie,  
do talerza na owoce skapuje  
noc.

Nie jest czarna, nie jest biała,  
nie jest tęczowa; jest niewidzialna.

I skapuje. Skapuje. Talerz  
już pełen nocy. Czas iść spać.  
Chodź ze mną.

## Z Grecji, gdzie nie byłem

Wiatr uderzył od lądu,  
trzy feluki prą w morze,  
jak dzieci w życie.

Słońce zachodzi. Na horyzoncie  
błysnął żagiel jak list; raz i drugi,  
aż umilkł na zawsze.

Sam. Na białym urwisku.  
Słyszę kroki. Ktoś nadchodzi,  
po stromych schodach,  
od strony cmentarza i cyprysów.

# Irek Ireduński zażądał, aby go spalić po śmierci

*„oportet omnet iquem probari  
quicum que ad padadisum redive desiderat”*

św. Ambroży

Irka Ireduńskiego,  
który umarł był prawie rok temu  
– spostrzegłem dzisiaj rano  
w pędzącej taksówce.

Jakby tam na górze  
nie zaliczono mu tej podróży  
i – aby Bóg nie poniósł strat –  
tę jazdę Irek  
musiał powtórzyć.

A zatem znowu – i to dwukrotnie! –  
przebyć ogień.



## W przerwie na papierosa

... Anioł,  
oślepiający jak tysiące  
słońc – przysiadł  
na rozłupanym kamieniu,  
nieopodal miasta,  
co płonie.  
I czarne skrzydła roztoczył  
na piasku.

\*\*\*

Sypie śnieg,

stara, nieuleczalnie chora kobieta  
poprosiła o papier i pióro

i pisze do swoich jeszcze żyjących  
znajomych list za listem:

umawia się na wspólne, dalekie wycieczki  
zaraz latem, albo

wczesną, ciepłą jesienią.

## Sroka

Puzderko z pamiątkami:  
jakieś pierścionki, spinki, szpilki do  
włosów: błyskotki, które kiedyś  
ukradnie sroka –

dziwny ptak, z takim długim, drgającym  
ogonem.

Niekiedy wydaje się, że ona lata  
do tyłu!

## Przedwiośnie

Przedwiośnie. Rzeczeko, kra  
spływa ci po policzkach...  
Płacz, ale tajaj.

Kobietę doznaje się po jej płaczu.

Jedne brzydną, inne pięknieją.

\*\*\*

O Ty, otaczające jaskinię platońską,  
zatem ofiara odrzucona:

młodość, marzenia, talenty, czułość  
i cierpienie...?

Murzyński bokser walczy na ścianie;  
nie umiem się pogodzić.

## Nocna ucieczka

Nocą, na oślep, w głąb  
szosy, wśród drzew, w białe  
smugi reflektorów... jak  
pomiędzy jej uda i chrapliwe  
okrzyki, jakby nie jej, ale  
tego ciemnego lasu wokół i jego  
luster.

\*\*\*

A więc to jest to owe słynne  
jutro?

To jutro, kiedy wszystko miało się  
nareszcie spełnić?

To jutro. Kiedy to zaczniemy  
traktować się ze swoim życiem  
poważnie?

Jutro,  
już jest jutro.

Jutro, czyli za późno!

Jutro było wczoraj.

\*\*\*

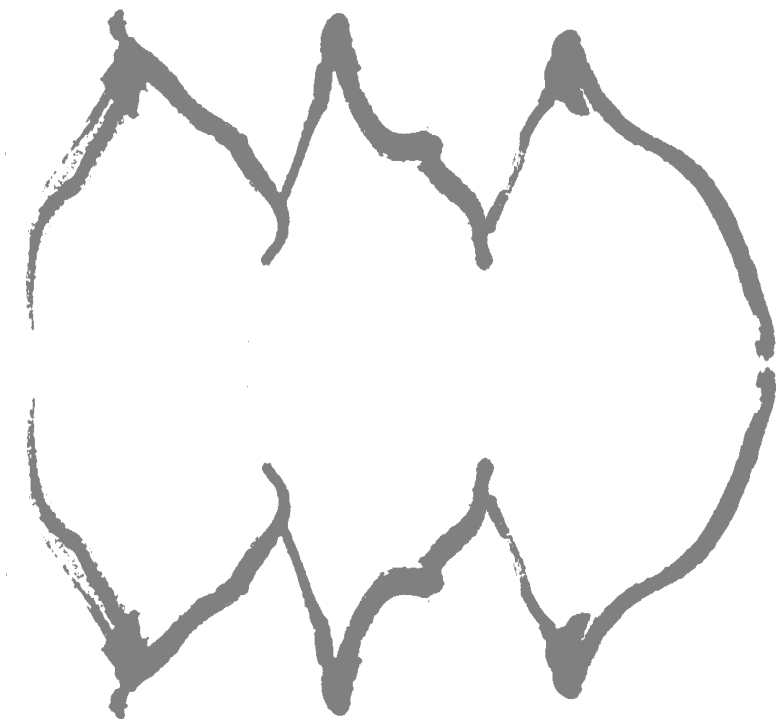
Przeładam swoje dawne słowa. Pełnio  
księżycowa, a jednak mnie też zamordowano.

Żyję, ale moje życie mnie przeżyło.  
Nikt już nie chce ode mnie za dużo.

Ty też nie, ale z czułości.







Gorgona, mamka bogów

\*\*\*

Jak dotkliwie, doprawdy,  
jak wspaniale nie udaje mu się  
życie;

ta przepaść jest nie do zaspywania.

Wciąż nie potrafi usprawiedliwić się  
z narodzin,

nawet przed sobą, nie mówiąc już  
o kilku bliskich mu osobach,

o ludziach na ulicy, o Ojczyźnie;  
o liściu, o trawie, o zwierzętach,  
o książkach i o gwiazdach...;

wciąż nie nadąza z domykaniem  
tych niezliczonych, z traskiem  
otwierających się wokół

drzwiczek i drzwi.

## Łropłe

woda krew limfa pot łyzy...  
w każdym bądź razie jakiś płyn  
kapie na mnie z powały

jedna kropla na dobę

stać mnie co najwyżej na jedną  
minutę rozmowy

a potem (to jednak pot) ten ktoś  
zamienia się w coś, w słup soli

jakbym był z Sodomy i Gomory

jeden telefon na dzień  
zwykle urwany w połowie bo  
akurat przypała się woda  
w kranie albo nikt do drzwi  
puka

dwa wysłane listy na rok  
na kilkaset pięknie nienapisanych

i trochę ogryzków wierszy  
pozostałych z deszczu we śnie –

schną teraz w porannym słońcu  
i we wszystkich naszych dziennych  
sprawach jak kałuża

parują czyli uduchowiają się

i taplający się radośnie  
w tym maleńkim liczącym dwie  
albo trzy fale morzu biały  
wieloryb w-zdycha

## Gołębie

Brudny, topniejący śnieg  
na chodnikach. Patrę i patrę.  
A jednak, śniegu razem musimy  
coś znaczyć!

Idzie przedwiośnie, i śnieg  
już rozwiązuje się.

Ale chyba rozwiązuje inaczej,  
niż rozwiązują się pierzchające mi  
spod stóp trzody gołębi;

inaczej, niż nieczytelne już  
supełkowe pismo moich łaknień.

## historia naturalna pewnego pojęcia

Tańce, tańce w najstraszliwszej  
z masek, z piór kolibra. Głaz  
totemiczny, jeszcze bez rytów  
liturgicznych.

I wilk, nasz brat w śmierci  
obustronnej.

Słońce, gwiazdy, wichura..., bóle  
głowy, rzeka i włosy; strach przerażony  
wiedzie to wszystko krawędzią  
już przeczuwanej Nicości (jeszcze nie  
o życie tu chodzi).

Posągi w ukryciu, wewnątrz  
głazów. Posągi w ogniu. W morzu.  
Świątynie, ołtarze, Arka Przymierza...

Runy, kamieniste tablice, cegły  
z bliznami, zwoje, papiirusy, Księgi święte...  
chorągwie,

krzyże, półksiężycy, smoki; zaklęcia,  
modlitwa, sakramenty...

Aż wreszcie –  
ów niezbywalny horyzont dialogowej  
natury mowy, a więc i umysłu...

Ktoś, kto nawet milczenia  
wysłucha.

Wierzący wszelkich krajów,  
tańczcie się.

## Językoznawstwo na poziomie elementarnym

Zaprawdę, powiadam Wam, tam  
w dzieciństwie; a nawet w młodości, wśród  
przymiotników i przysłówków niema jeszcze  
rzeczy i ludzi.

Z widnokregu rodziców, których zobaczymy  
najpóźniej, wylaniają się – rodzą się w bólach  
rzeczowniki: laska ze srebrną gałką – czyli ciotka,  
ołówki i okulary z nauczyciela, Tadziki to piłka,  
Agatka – płacz z piegami...

Z czasem wszystko staje się coraz mniej  
niewinne. Świat zaczyna poruszać się. Czasowniki.  
Goni nas miejscowy osiłek. Adiunkt zezuje.

Krystyna stale się spóźnia. Pomińmy, dyszającą,  
podstarzałą, stale podpita Wandę, z jej rozpalonym  
do białości brzuchem i jej czasownik.

Bardzo, bardzo mozolnie lepimy  
coś sensownego z tych części mowy. Toporny  
Golem wciąż sprząta nasze podwórko, donosi  
wodę i bywa, z braku kogoś lepszego – kochany...

Któregoś dnia cały ten wszechświat  
nagle się zapada. Wracają do słownika,  
który był na początku – nasze miłości,  
małżeństwa, dyplomy, ordery, choroby,  
lęki i urazy. I odzyskują porządek  
alfabetyczny.

Idziesz potem zatłoczoną ulicą, rozglądasz się,  
patrzysz na pomijających cię ludzi... I zagarniają cię  
nieodparte abstrakcje: odraza, litość i współczucie.

## Strzegące chaosu świata...

Strzegące chaosu świata demony  
Maxwella. I życie,

naruszające ten święty chaos.

W ekosferze światło odchyła się  
na lewo. Prawoskrętność strzyg  
i upiorów? I Sztuka,

prowadząca życie  
– tę szansę sensu – pomiędzy  
nieskończonościami (ich granic strzeże,  
zdaje się, sam Archanioł):  
w stronę Losu. I Wizje,

przewyciężające święte  
sprzeczności mikro i makrokosmosu,  
życia i śmierci, Dobra i Zła...;

hierarchie bogów, drabina niebiańska...;

a wreszcie, owe paradoksalne  
dla rozróżniającego Rozumu:  
„Nic, ponieważ Wszystko!” –

i to w trzech, czterech, dziewięciu,  
jedenastu, a może aż w dwudziestu  
wymiarach... I czułość,

aż rozdzierająca: odsłonić w kropli  
– ocean, i Ciebie w łzie, na którą mnie  
nie stać.



## Fizyka

Przekształcenia Loranza, równania  
Maxwella, niedługo potem świetlista  
zależność pomiędzy masą i energią...  
To jeszcze nie budziło podejrzeń.

Mała teoria względności bez trudu  
mieści się w granicach dobrego wychowania;  
poniekąd je towarzysko umożliwia,  
nie bądźmy tacy puryści.

Ktoś gra na skrzypcach podczas wrzawy  
kwantów, mimo zasady nieoznaczoności;  
jest przeświadczony, że Bóg w kości nie gra  
– może i dobrze, jeszcze by przegrał.

W wolnym przekładzie na życie  
codzienne w makroskopowym wymiarze,  
gdzie można zaniedbać stałą Plancka - są to:  
długie blond włosy, niebieskie oczy, dziecinne  
usta, biust duża czwórka... i  
całkowita nieprzewidywalność miłości.

Dopóki nie pocałujesz  
nigdy nie wiesz, co będzie. Jest i nie jest,  
nie jest i jest. Jednocześnie. Jak ów kocur  
Schrödingera.

## Złudzenia...

Złudzenia, o szczelnej czasoprzestrzeni,  
w której się nie jest samotnym;

złudzenia, albo na miarę tego staruszka  
Newtona,  
albo naszych ukochanych mądrali:

Wisławy Szymborskiej, z jej wierszem  
o kamieniu, odpisanym od Świrszczyńskiej,  
która trawestowała święte pieśni Czarnego  
Lądu..., o kamieniu, z którego nas wygnali;

albo Zbyszka Herberta, z jego głośnym  
Studium – przedmiotu, którego nie ma, więc  
nie istnieje bez słów, co dawno temu już był  
zauważył niejaki Cocteau...; cholera, że też  
znają francuski.

Szczelność? To cieknie! Zasadnicza,  
kwantowa nieciągłość.

A którędy, u diabła, mógłby  
do nas przedostać się Duch – owa Nicość  
samo się wzniecająca? Pojawić się,  
aby wycofać.

Nie trzeba gnozy, aby o tym wiedzieć:  
wystarczyś Ty, kochanie i parę haustów koniaku.

\*\*\*

Co też wyrzuca na brzeg  
morze wieczności?

Zerwaną melodię, kawałek koloru;  
czyjeś cienie, wspaniałe miejsca  
na ruiny świątyń, piękne puchary  
z grobowców, już puste i bez łez....;

oczyszczająca moc materii.

Z tego wszystkiego my  
biedni ludzie wnosimy, że niegdyś  
istniał złoty wiek ludzkości;  
tak wnioskujemy z tych resztek  
opłukanych z cierpienia i zgrozy.

## Mewy

Przyjechałeś nad morze,  
porozmyślać nad swoim losem,  
nad swoim życiem, jak każde inne  
zagmatwanym.

I zagarnęły cię – większe  
od ciebie – przestwór, nostalgia,  
samotność i słońce.

I nie mający początku,  
ani końca, niemal błyskawiczny obraz  
kobiety w kawiarnianym ogródku,  
coś popijającej przez słomkę.

Aby nieco ochłonać, zanurzasz  
twarz w morskiej wodzie, czując  
jak wielka łza faluje.

Nie jest to, oczywiście, rozpacz  
na twoją miarę – mimo wszystko; mimo,  
że, niejako, ją smakujesz

Dookoła wzbiera ptasia zawieja i  
potężnieje skwir urągłych mew,  
przejrzały twoje oszustwa.

## Na lotnisku w Rzymie

Turbulencje, wiry, zwoje i  
pukle powietrza za startującym  
odrzutowcem...

– jakby w strudze falujących włosów  
ulatywała stąd

Lorelei,  
albo jakaś inna Marylin Monroe.

Przy pewnej wprawie w jątrzeniu  
zmysłów nawet w słoneczne południe  
można dojrzeć niebo gwiaździste  
i ciemne...,

a także mknącą poprzez mgławice  
piękną, młodą i nagą kometę.

\*\*\*

Plamista liszka na kamieniu,  
pełznąca swoją wątłą, zielonkawą  
granicę między życiem i śmiercią;

lub jakiś dziwny ptak, koziołkujący  
tuż u wylotu wielkiej, chociaż  
jeszcze niewidzialnej ciszy,

a nawet tamci – lew,  
albo tygrys: samoistni, osobni jak  
układy słoneczne...

i wszelkie inne jednoznaczne  
zwierzęta na tle bezradnego rozumu.

Tak, hipoteza reinkarnacji  
wydaje się być jedyną etyczną zasadą  
etyki:

jeśli możesz wcześniej obejrzyć  
swoje przyszłe wcielenia,  
możesz – wybierać, a nie zgadywać.

## Widno jeszcze...

Widno jeszcze; niski, jeszcze  
młodziutki wieczór zaczyna tarzać się  
w trawach,

a słońce szczelinami kwiatów  
dopiero wcieka pod wzgórze,

na niebiosach – zmierzch  
je rozczula – suną chmury świateł,  
kolorów i cienia...

mały drapieżny ptak  
prowadzi zawiłą linię przez  
wiatr – jakby to wszystko  
rysował, itd., itd.

Podjeżdżasz,  
to przepiękna okolica, ale...  
nie potrafisz przypomnieć sobie  
malarza, który nauczyłby ciebie  
ten krajobraz zrozumieć;

czyli zobaczyć.

## wiry

Wiry nieskończoności, lej gwiazd,  
loch księżycowy, przepaście obłoków;

doły spojrzeń, jamy rzeczy, wnęki  
słów, nora ciała;

jaskinie wewnętrzne, nisze,  
myśli o miłości i śmierci, czeluście  
czułości;

studnia z płodowymi wodami,  
otchłanie, chyba wcześniejsze  
ode mnie...

Tak, jestem na dnie.  
Ale jak tutaj wpadłem ?

Chyba tylko przez ten świecący  
nade mną otwór słoneczny.

Jasność. Mroczniejąca, jeśli  
popatrzysz dłużej. Nikną szczegóły;  
tak, tamtędy.

Nieopatrznie, bosą nogą nastąpiłem  
na światło –

i runąłem, wśród błyskawic  
i tęcz, w jedną z warszawskich  
tętnic.



## Chwila słabości

*„Ale co dzieje się z nieopowiedzianymi  
zdarzeniami?”*

Linie węgorzy, barwy hien,

przestwór z sępem, kruki i wrony...

– godzę się na was, stada

Słów.

Wszystko, co czuję – pożeracie.

Gdy pożeracie – wtedy czuję.

To nie jest tak, że jestem  
trupem. Boli go czasem, czasem  
cieszy, coś mu tam życiu się  
przydarza.

Jeśli nie mówi – nie istnieje.  
Przyjdźcie i jedzcie ciało moje,  
na tym polega Odkupienie.

Niechaj w tych pustkach się  
usłyszę, bywam jedynie waszym  
echem; milczenia miewam  
gadatiwe.

Gadam lub piszę, nic mnie słyszy,  
siebie od siebie się dowiaduję...

\*\*\*

*„Przejrzystość rzeczy” – tytuł  
pewnej powieści Nabokowa*

A może rzeczy i przedmioty  
po swojemu też cierpią i wątpią, bodaj  
nieodwołalniej niż człowiek,  
gdyż mają i kształt i granicę?

A może świadomość, która podobno  
przysparza nam tylko nieszczęście,  
w rzeczywistości – jest ulgą i obudzeniem  
z koszmarów,

wśród których pną się i brodzą  
rośliny i zwierzęta,

niemal szczęśliwe, gdy je zjadamy?

Albo ta bezsenność materii!

Wyobraź sobie – kwarc zażywający  
środki uspokajające, aby zasnąć i chociaż  
na chwilę nie być tylko sobą,  
na mgnienie błyskawicy zaprzestać  
pustynnego czuwania; w jego sytuacji  
nawet koszmar senny jest jak oaza  
i cień pod biegnącą palmą.

Rzeczy i przedmioty. A Próżnia? A  
Czasoprzestrzeń? A Pustki? A Nicości?

A Tamten?!

## Fonie i wizje

Psuć się zaczyna ten boży  
telewizor:  
siedzimy przy kawiarnianym stoliku,  
rozprawiając, powiedzmy, o sensie  
istnienia...;  
wyłącza się dźwięk;  
rozmawiamy nadal, niczego nie  
zauważając;  
cisza coraz rozleglejsza, przelewa się  
przez horyzont i zaczyna zagłuszać  
łoskot przeszłości:  
jeszcze przez chwilę dudni cichnący  
lament dzwonów gdzieś z połowy  
siedemnastego wieku – jakiś pożar, albo  
nadciągają Tatarzy – potem cichnie nawet  
milczenie...; wyłącza się dotyk:  
ciało – nogi, ręce, głowa... topnieją,  
jakbym był kukielką z wosku i  
niebacznie zażęgał w sobie ogień;  
jestem już tylko oczami, samym  
wzrokiem: widzę  
puste krzeselka, nieco odsunięte  
od stolika, przy którym nadal trwa  
wyzbyta ludzi sprzeczka; tak  
już pozostanie.

## Nie żałuj...

Nie żałuj – jest, jak być miało;

na ślepo, ale w końcu to ty  
wybierałeś w tym, co ci dane...,

mogłeś przecież wystąpić z szeregu  
ocalonych;

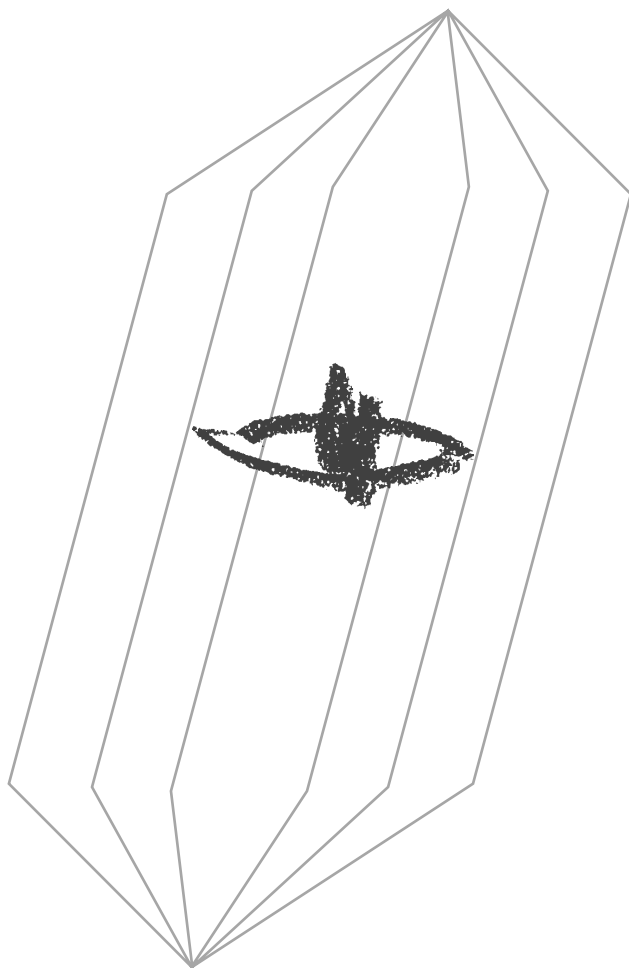
selekcje jak przed komorą gazową;  
reszta twoich istnień zginęła, całe  
narody;

gdybyś był kimś innym, też  
mógłbyś żałować...

Buddyści ostrzegają –  
masz szansę doświadczyć

wszystkich swoich wcieleń.





pasterz kryształu

## Cytaty

Noc. Byłem sam w mieszkaniu.  
Siedziałem w fotelu. Nie myślałem  
o niczym. Nagle trzasnęły drzwi.  
Ktoś wyszedł.

Usłyszałem monotony monolog.

Drzwi trzasnęły znowu. Zaczęła się  
rozmowa. I znowu mi kogoś ubyło.  
Słyszałem już kilka osób. Jeden drugiemu  
przerywał. Zapowiadała się kłótnia.

Trzask zamykanych drzwi. Głosy.  
Wrzawa. Każdy o czym innym. Pełno tu,  
a jakby nikogo nie było.

O świtaniu wrócili, ci co odeszli.  
Cisza. Zacząłem się modlić. Od powietrza,  
głodu, ognia i wojny ...

A najstraszniejszą rzecz żeście widzieli?  
Moją twarz, gdy jestem zupełnie samotny?

28.10.99

## Polowanie

Nastały wielkie upały, jakich  
nie pamiętali najstarsi. Wyparowały chmury.

Srebrzysty, życiodajny pył przestał prószyc.  
Od razu topniał.

Słyszeliśmy jak z chlupotem się skrapla,  
ścieka, rośnie, przepoczwarza... I nic na to  
nie mogliśmy poradzić:

dopóki Spława jest głodna i pusta,  
bywa zbyt ruchliwa, aby ją dopaść  
i schłodzić.

Na małe Spławy poluje się z przynętą,  
a ta była ogromna. Ożyła któregoś Światła,  
dojrzała i pochłonęła pół wioski.

Potem zaczęła uciekać, żeby strawić zdobycz  
gdzieś w górskich cieplicach, przy których  
się nie zestali.

Ścigamy ją już od kilkunastu księżyców,  
w ich odblasku staje się widzialna. Cynobrowy  
trop jest jednak bardzo niewyraźny.

Jeśli jej nie schwytamy, nasze zwojdy zdechną,  
zgasną, i co będziemy jedli.

Całe plemię ruszyło w pościg, nawet rodne  
niosą naczynia z ciekłym azotem.

W końcu dotarliśmy do wzgórz i rozzarzonych  
zarośli. Nie wiedzieliśmy którędy iść dalej.



Nagle –  
tysiące naszych małych postaci zamigotało  
w liściach.

Tędy pełzła, krzyknął szperacz, wskazując na  
wpatrujące się w nas krople rtęci,

które Splawa pozostawiła na krzewach,  
cieknąc ku swojej jamie.

Wreszcie ją dopadliśmy. Nie przedarła się  
przez uskok termiczny. Temperatura spadała tu  
gwałtownie poniżej trzydziestu dziewięciu stopni.

Gdy podeszliśmy, zastygała właśnie,  
bezglębnie kłapiąc zabójczą ssawą. Połupaliśmy ją  
na półcie, zamknęliśmy w termosach,

i ostrożnie – oddaleni jeden  
od drugiego na tyle, aby nie zaiskrzyła  
i nie skropiła się z powrotem w bezdenne  
potwora –

powoli wracaliśmy do Wieży. Zwojdy dostaną  
swoją pokarm. Zaczną promieniować,  
a nasze pokrywy i łuski znowu pięknie się  
zazielenią.

I nikt nas nie rozpozna.

## Maszyna

Wysoki, kilkumetrowy kopiec  
rozpękl był od uderzenia i przewrócił.  
Żołnierzy, robotnice, larwy i całą resztę  
wyrzuciło na zewnątrz. Zamrowiło się  
wokół.

Żołnierze na oślep szukali wroga,  
robotnice wlokły larwy i jaja, ciągnęły  
jakieś żdźbła i grzybnie, zaganiały  
rozpełzające się nektarodajne mszyce  
i zniewolone mrówki, próbowały  
ukryć w szczelinie na wpół zmiażdżoną  
królową...;

jak w pałacu po trzęsieniu ziemi  
lub podczas pożaru.

Wśród gruzów kopca, cała pokryta  
ruchliwym, oszalałym tłumem termitów  
stała, przechylona na bok maszyna  
obserwator

i płakała.

## Młynarz Jon

Jego dzicy przodkowie żywili się  
jeszcze nieprzyswojoną, nie zmieloną  
wodą.

Na samą myśl o tym Młynarzem  
targa suchy spazm obrzydzenia.

Potem, przez wiele, wiele Obrotów  
wodę obrabiano prymitywnymi tłukami.

Miażdżono ją, aby rozbić  
trujące łańcuchy cząstek i niestrawne  
wiązanie wodorowe.

Trwało to nieraz całymi Światłami.

W końcu wynaleziono żarna. Struga wody  
wyciekała z nich jeszcze łykowata i pełna  
łupin, ale już nadawała się do wchłaniania.

Teraz mamy nowoczesne młyny do wody  
i filtry destylujące, a on jest Młynarzem

o budzącym respekt przezwisku –  
Jon.

## Ballada o Romeo i Julii

Całowali się, pieścili,  
zaglądali sobie głęboko w oczy,  
jakby chcieli, aby im oczy się zrosły.

Nie mogli być z sobą zbyt  
długo. Wiedzieli o tym. Byli chorzy.

To nader rzadka, sublokomocyjna  
choroba, nieuleczalna. Zaczyna się  
zazwyczaj w okresie dojrzewania,  
przydarza się jednak i starszym.

Jej objawy są dziwne – chory  
od miejsca, gdzie się urodził nie może  
się oddalać więcej niż na kilkanaście  
sążni.

Dalej słabnie, mdleje, zapada  
w śpiączkę śmiertelną.

Julia i Romeo poznali się listownie  
i zapalali miłością. Pisywali do siebie,  
telefonowali codziennie, rozmawiali  
poprzez Internet,

a mieli rodziców skąpych.

Rozpacz cuda czyni. Odkryli  
aport telepatyczny.  
Wpatrywali się w swoje fotografie,  
i następował transfer.

I spotykali się cieleśnie. Na łąkach,  
w motelach, w kościele... Po godzinie,  
lub dwóch cofało ich tam, gdzie żyli.

Stało się kiedyś:  
Romeo przybył za wcześnie, i musiał  
na Julię czekać. Zażył więc krople  
nasenne, bo sen odwlekał śpiączkę,  
zdrzemnął.

Julia myśli: on umarł. Kładzie się  
obok, przypina do drzewa łańcuchem,  
klucz wrzuca do studni.

Wtedy zaczęło ich cofać i Romeo  
się ocknął.

Uniosło ich. Przykute łańcuchem,  
ciało Julii nie mogło wrócić.  
Romeo nie chciał jej puścić.

Objęci, kołysali się na żelaznej uwięzi,  
nim nie zapadli w śpiączkę. Ich oczy  
się zrosły.

Zastanawiano się  
później, jak oni zdołali odejść  
tak daleko  
od swoich domostw.

## Świecąc

Nowy Potop – który miał wreszcie  
wyplenić do szczętu niepoprawnych  
grzeszników – znowu zdawał się dobiegać  
końca. Kilkoro z nas ocalało. Czterdzieści  
dni mijało, samice zostały zapłodnione.

Pierwiastki uspokajały się, poziom  
promieniowania opadał,

wypuściliśmy z naszej szczurzej nory  
najbardziej odpornego braciszka  
(10 000 rnt) – karalucha,

aby zbadał, czy świat istnieje.

Wrócił, cały i zdrowy, niosąc  
iluminującą gałązkę, przypominającego  
neon skrzypu.

Świecąc rozpoczniemy od początku,  
świecąc.

## Yyell, pieśń miłosna

O Kado, Kado, przybądź  
na święte wzgórze. Czekam na ciebie,  
trzepocząc z czułości. To ja,  
Yyell.

Czyż nie jestem już dostatecznie stary,  
przejrzały, chory, czyli piękny i smaczny?  
Przybądź, Kado. I skosztuj.

Prześmignęły dwa deszcze  
jaszczurek. Kado, czemu je wolisz,  
zamiast mnie?

Tak rozbrajająco kaszlę, rzezi mi  
w skrzelach, jestem już gotowy, skruszały,  
jadalny. Czemu nie raczysz mnie  
spożyć?

Przewiały skrzydlate stada ludzkich  
szczeniąt, łamiąc gałęzie. Czy one są lepsze  
ode mnie? A wybrałeś je, pożarłeś  
i wydalileś i opadną na Ziemię.

Kiedy wchłoniesz mnie wreszcie? Kado, to ja,  
Yyell.

Wypełzłem z żyznego morza  
dla ciebie. Wspinałem się tu, wśród opuncji  
i głazów, przez piaski. Kaleczyłem płetwy  
i czułki, przeobrażając wewnętrznie.

Kado, już czas, pochłoń mnie. Wniknę  
w twoje trzewia, zapłodnię. Zniesiesz w chmurach  
jajo i wykluje się zeń smok latający.

A ja, Yyell ścieknę z powrotem  
w strzegące nas, wiecznie otwarte  
oko morza.

## Rozmowa

*Ewie*

Miła moja, to znowu ja,  
nie bój się, proszę, będę tym razem  
ostrożny i delikatny.

Stęskniłem się za tobą,  
i musiałem zadzwonić, aby cię trochę  
mieć, przyrzekam,  
będę wcielał się najmniej  
jak mogę.

Poczujesz co najwyżej zapach  
lawendy, który przecież lubisz, zjawię ci  
mały koszyk kwiatów na stole, nieco  
przesunę fotel, aby cię lepiej widzieć,

nic więcej, jakieś lekkie muśnięcie  
palcami po włosach, tylko tyle,

żadnych objęć, pocałunków, przyrzekam.  
Nie odkładaj słuchawki.



\*\*\*

Równoległe wszechświaty Wheelera?  
Zwidy? Albo jungowskie projekcje – UFO,  
Matka Boska Fatimska...  
Czemu ja tak się mądrzę?

Piliśmy kiedyś w Międzyzdrojach, akurat  
kochałem się w Kryśce (bagatela, ciągało się  
to naście lat),

piliśmy... aż poczułem się nimi i sobą  
zmęczony, kupiłem jakieś tanie wino,  
wybyłem na wydmy,

młody, wysportowany, opalony osobnik  
płci męskiej, autor kilku tomików wierszy.

Piłem z dzioba, na wszelki wypadek nie  
otwierając oczu, bo wtedy raczej musiałbym  
wiedzieć co robię, a

wolałem nie wiedzieć.

Leżałem więc, podpity, półnagi i  
ślepy na piasku, usiłując nie myśleć o  
niczym

(wielkie zadanie; mistyka, bardzo rzadko  
to mi się udawało...)

Leżałem więc, i popijałem, w środku  
jazgocącego słońca (mądrzyło się, po swojemu  
jak moja ciotka, która też nie lubila, kiedy  
chlałem),

gdy coś mnie zaczęło całować po brzuchu.

Wilgotne, ciepłe wargi pełzły po  
moim ciele, jak słońce Hannibala przez  
przełęcz alpejskie, zadrżałem... ale

to nie była Kryśka, jej usta moje ciało  
już znało, ani żadna z bibliotekarek,  
u których miałem wtedy spotkania autorskie,

nie była to nawet ta kucharka z Domu Pracy  
Twórczej, która czuła ku mnie skłonność  
i wabiła schabowym.

Całowało mnie coś zupełnie innego. Wolałem  
tego nie widzieć. Całowało mnie,  
cmokając, a ja popijałem, z dzioba, pojękując  
z rozkoszy.

Potem odeszło, szorując cielskiem o piasek.  
Dopiłem wino. Policzyłem do sześćdziesięciu  
dziewięciu. Otworzyłem oczy. Wstałem.

Ślady czteropalczastego, sześcionogiego  
stwora dochodziły do morza.

Usiadłem nad słoną wodą, zaszlochałem  
nad sobą.





pijaństwo  
z rudą

## Dureń z innymi durniami...

Dureń, z innymi durniami  
chlałem wodę noc całą, w dymie,  
wrzasku, bełkocie udręczonego mózgu;

kałuże samoudręki, bulgotaliśmy  
noc całą nie bez poczucia wzniosłości.

Gdyby to nie było nieszczęście,  
nikt by się pić nie zajął. Nikt  
nie piłby za darmo, własnym życiem  
nie płacąc.

Pieprzeni hodowcy żalu,  
od kilkunastu godzin łyż rzeczy  
wciekają we mnie, łyż świata.

Jakiś dwudziestolatek po piwie  
jedenastym spazmatycznie rzyga. Doprawdy,  
wzruszają nas te ohydne odgłosy:

oto jak młode i niewinne ciało  
broni się jeszcze przed miazmatami  
duszy.

## Płaczące matki

Płaczące matki, rozsierdzone  
żony, zmarnowane okazje, osłupiałe  
dzieci, pogardliwe uśmieшки znajomych...

a w sumie – raczej zysk,  
niż strata, choć trzeba przyznać, zysk  
niezbyt uczciwy:

źle, to źle, zażywasz siebie.

Przestać pić – to tak, jakbyś  
już się przyzwyczył, i pogodził ze sobą  
samym:

i patrzył na siebie cudzymi oczami.

## W związku z Gogolem

Znowu pije. Jak mu swojsko  
w przedpiekle. Nie jadł od dwóch dni  
– spalona śluzówka nie wchłania.

Alkohol jest samowystarczalny  
i pod tym względem. Nie tylko w udręce.

Nie je. A jego osobisty diabeł  
szepcem opowiada mu o nie byle kim:  
o Gogolu, który podobno także  
nie jadał.

– Nie jesz – tłumaczy zawistnik  
z Niebytu – tylko dlatego, że karmić  
cię nie chciała żadna  
z matek.

## AIDS

Zbyszek, uroczy, świeży  
studenciak odgraża się  
całkiem na serio:

gdyby stać było mnie  
na to – wykupiłbym i spalił  
wszystkie magazyny ilustrowane

i kasety video z filmami  
porno;

to nie do wytrzymania –  
tysiące pięknych olśniewająco  
kobiet. Dla każdej z nich warto  
byłoby zmieniać ten parszywy  
świat.

Umrzeć, a nawet zabić.

A one na oczach wszystkich  
tak się łądaczą.

Chyba przeniosę się  
na homoseksualizm.



## Flora

Flora, pijana i goła tańczy  
na stole i płacze, bo nikt jej  
nie podpatruje. Porozsiadaliśmy się  
w fotelach i oglądamy mecz  
w telewizji, chociaż obok jakaś  
para spółkuje i też domaga się  
widzów; miła orgietka,

nastolatek, co tutaj się wprosił  
głośno wymiotuje pod ścianą, jakby  
po raz pierwszy kogoś zamordował  
bez powodu.

## Pejzaż z motylami

Młoda kobieta z dzieckiem  
na rękę po raz trzeci  
zagląda do knajpy.

A my właśnie odnawiamy  
porządek kosmiczny – na to  
trzeba czasu, ona przeszkadza.

Pracujemy ciężko kilka  
godzin, młoda kobieta z dzieckiem  
znowu przychodzi – czyli stary świat  
nadal trwa.

Zazdrościmy temu, którego szukają.

On przykucnął pod stołem.

Nie chce pójść tam, dokąd  
my byśmy pobiegli. Nie chce, i już.

Chyba go pobijemy.

On ją też pobije.

Tutaj nie ma statystów.

## Diabeł i życie

Diabeł i życie żyją  
w szczegółach:

pojechałem do Gniezna, na spotkania  
autorskie, gadałem przez kilka godzin,  
nie bez niewielkiego sukcesu u egzaltowanej  
polonistki, która bardzo miło bała się mamy  
i ciąży,

a potem sączyłem do rana kubański rum,  
poprawiając wiersze miejscowego poety, bynajmniej  
nie w duchu Fidela Castro...

spóźniłem się na kolejny pociąg do domu,  
wyjechałem, nie zachodząc do Katedry  
Gnieźnieńskiej...:

nic dodać, niczego ująć.

## Z wizytą

Zachodzę do sąsiada z wizytą,

a tam święto; baraszkują  
dzieciaki, żona w nowej fryzurze  
tort.

Pan Janusz już od dwóch dni  
nie pije i nie pali, i nie będzie  
nikogo bił.

Co za szczęście; chcą kupić  
nowe meble, a ja ich niemal  
z nich okradam, milcząc. Boże,

czyżbym był potworem? Na  
myśl o tym ślina wzbiera  
mi w ustach i połykam ten węgiel.

## Cyborg

Zwierzątko, bolisz mnie dzisiaj.  
Czy ciebie też bolę? Masz do mnie  
żal?

Tyle miłości i tyle niemiłości,  
zarywane noce, alkohol w oczach sowy,  
niezapisane wiersze, które nie chciały  
powrócić...

i ten śnieg za oknami,  
stąpający tak przeraźliwie cicho.

Wszystko to dźwigasz na sobie  
zwierzątko, moje serce, z tętentem  
spłoszonego pociągu,

którym postanowiliśmy uciekać  
od nikogo do Nikogo.

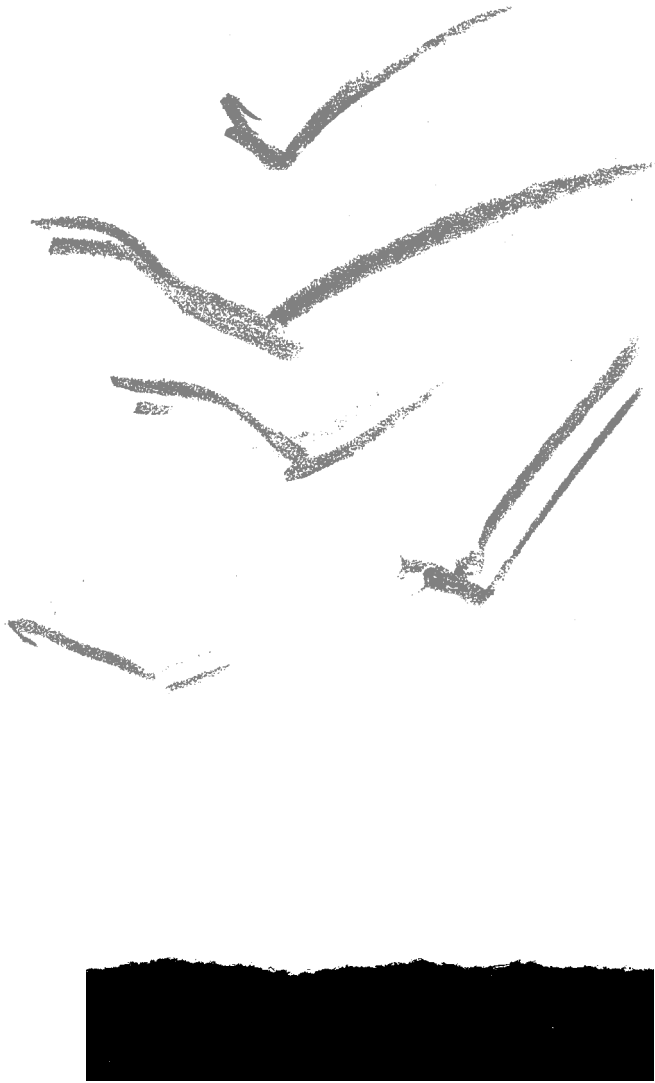
## Z albumu pijatyk

Moja dziewczyna ma  
na imię Pada. Nieważne  
jakie nosi nazwisko – śnieg,  
czy deszcz, albo śnieg z  
deszczem.

Po prostu Pada. Pada,  
dzień i noc. Stale. Ależ tak,  
Pada Padalec.

Oto wije się w powietrzu,  
spełza z dachów i rynien  
na ziemię, czołga wśród  
traw..., aż wsiąknie  
w zieleń, czyniąc mnie  
dojmująco samotnym.





poematy



## Świecące forsycje

*Markowi Wawrzkiwiczowi,  
poecie wspaniałych melancholii*

Długo spałem, a potem przez chwilę jeszcze  
leżałem z zamkniętymi oczami, czyhając...,  
ale sny już zdążyły powrócić do siebie,  
wsiąkły jak śnieg zeszłoroczny,

niemal bez śladu (jeśli nie liczyć mgiełki  
niesmaku w ustach) – albo jak śnieg,  
co jeszcze nie spadł.

Dzień zapowiadał się aż niepokojąco  
spokojny jak na starzejącego się mężczyznę,  
który się rozlicza z przyszłością.

Zanim nie zaszczeka telefon na głos kogoś  
obcego, nie wróci żona i dzieci, nie otworzą się  
gazety i książki i ich zatłoczone dziedzińce

– kilka godzin pięknego „nigdy i nigdzie”;

nikt i nic nie czeka, nie woła, ciało syte  
i wypoczęte też nie domaga się swego.

W radiu tli się cicha muzyka,  
same znane piosenki, nie trzeba ich nasłuchiwać.  
Czy jeszcze zdążę ten poranek wspominać?

Zaparzyłem kawę. Umościłem się w fotelu,  
wypchanym morską trawą (żadnych skojarzeń:  
żadnych Syren i Najad...),

zapaliłem chorobotwórczym bogom trociczkę  
białego człowieka, papierosa o nazwie Carmen...

i czekam.

Najpierw weszłaś ty, moja pierwsza  
wielka miłości; nie spodziewałem się tego,  
od dawna nie myślałem o tobie.

Stałaś z boku, przy ścianie – i nieco  
zasłaniają cię wysokie krzesła i stół,

na którym pustoszy się wazon –  
kurczowo uczepiona świecących forsycji,  
jak iskrzącej pochodni, kiedy zabłądziło się  
w lochach;

dziwne kwiaty, żółte, bez liści, na czarnych  
gałązkach, jak z zaświatów...

Rozpocząłem się dzisiaj znikąd,  
od niczego i od nikogo, a tu masz – od razu całe  
czterdzieści jeden lat w prezencie. I znowu tyle  
udręk przede mną. Dziękuję. Nie wiem, czy  
zasłużyłem.

Dziękuję, że jeszcze raz zmartwychwstałaś,  
bo to przecież nie ekshumacja. Ale papieros  
dopala się. Wracaj do swoich.

Rozwiej się z dymkiem ofiarnym,  
który składam nowotworowi. Zniknij,  
jak śnieg przyszlóroczny, niemal bez śladu  
(jeśli nie liczyć mżawki niesmaku w ustach).

Zbliża się wiosna, i wbrew wszelkiej  
logice, wzorem barona Münchhausena, trawa  
wyciąga się z grząskiej ziemi za zielone włosy.

I słychać pukanie do drzwi, jakby  
wykluwała się kukułka.

## Ekspedycje mistyczne...

Ekspedycje mistyczne: Orficy.  
Odradzający się jak ogon salamandry  
Dionizos. Słynna  
wyprawa Orfeusza do Cieni – powrócił  
z nikiem, a przecież nie zamieniło go to  
w słupek soli; zginął później, rozszarpany  
przez przysze wdowy po Minotaurze –  
nie wybaczone...

Jesteśmy jak przewężenie klepsydry –  
– labirynt zewnątrz i wewnątrz:

Odys wymieniający wiosło na łopate  
grabarza;  
o zwycięstwie Tezeusza jeśli już coś wiemy,  
to tylko dzięki Ariadnie, dzięki jej  
rozwijającym się i zwijającym  
jak u polipa włosom, ich pukle,  
i labirynty, o duszo moja...

Spiralne wędrówki po Bar-Do.  
Empedokles spacerujący po Polach Elizejskich  
w jednym sandale, wyśmiewany przez gówniarzy.  
Zejście Chrystusa do Piekieł...

Pamiętna data; 8 kwietnia 1503 roku,  
kiedy to Dante stanął u wrót z napisem,  
który współczesny Europejczyk zna  
też z innej bramy, też otwartej, już ku niebu,  
na ścieżkę z dymu...

W kilkadziesiąt lat później, gdzieś pod koniec  
roku 1577, Jan de Vepa, zwany Janem od Krzyża,  
wkracza w swe noce ciemne... Itd.

Uzy rzeczywiście musimy  
zaznać się w swojej zgrozie, tam u korzeni,  
u Matek, w łonie których przebóstwia się  
martwota materii, przestrzeni i czasu?  
Połyka nas to, co niegdyś wypluło?

O co tu chodzi? O złudzenia ludzkiego umysłu,  
który dojrzał i umie już pomyśleć  
straszne i okrutne pustynie świata bez siebie?

O ową tajemniczą, elementarną – ostatecznie  
niepodzielną – cząsteczkę Bytu: Śmierć;  
śmierć, co na pozór nie łączy się z nikim i z niczym,  
nawet w hekatombie?  
Śmierć zawsze osobna, a przynajmniej osobista?  
Też mi pocieszenie.

I to miałyby być ten wierzchołek  
góry lodowej, widocznej pod mikroskopem  
elektronowym? Albo przez teleskopy –  
tam, w tej ohydnej, nieskończonej, puchnącej ranie  
czasoprzestrzeni?

A myśl miałyby ją przemierzać i  
wypełniać?

Wielu z nas w to wierzy;  
że wypełnia – od początku, teraz,  
i na wieki wieków.

## Pobojowisko pod Faoh

Gdzieś na Półwyspie Faoh,  
więc niezbyt daleko od Raju,  
choć nieco później, widziałem...

Ach, czego to ja nie widziałem  
tam na tym Półwyspie Faoh.

Jechałem wśród gajów palmowych,  
podobno największych na świecie.  
Szukacie lepszego Raju? Na pewno  
go nie znajdziecie:

lepianki z trzciny i gliny,  
a starsze od Niniwy.

Ach, czego ja nie widziałem?  
Ludzi, co dotąd tam żyli;  
błękitni, ale szczęśliwi.

Mijałem wzdłuż linii frontowej  
puste osiedla i domy,  
porozrzucane jak odzież. I cienie  
palm daktylowych,

wyciętych palm daktylowych;  
i cień ich jak ślad bosej stopy.  
Cienie widziałem puste,  
widziałem oczy bezludne.

Ach, czego to ja nie widziałem  
tam na tym Półwyspie Faoh.

Widziałem pustkowie solne,  
nawet wiatr tutaj nie rośnie,  
zorane żelazem i ogniem...

całymi kilometrami – okopy,  
nasypany obronne: pustynia  
pośród pustyni,  
i młodsza, i starsza niż człowiek.

Widziałem zabite palmy.  
Widziałem palmy bitewne –  
– całymi kilometrami pnie  
tuż przy piasku ucięte:

widziałem lasy trumienne.

Ach, czego to ja nie widziałem  
w słonecznym pyłe i świetle.

Zwiedzałem obóz wojskowy,  
armaty widziałem, anteny,  
spotkałem też młodych żołnierzy...

Ach, czego tam nie widziałem?  
Żołnierzy, którzy zginęli.

Widziałem arabskie Verdun.  
Widziałem w powietrzu krzyk  
ludzki.

Ach, czego ja tam nie widziałem.  
Widziałem – pustynię  
pustyń.

Widziałem – miejsce. Na mapie  
wciąż to jest miasteczko Faoh.  
Widziałem więc miasto bez  
miasta, które tu ongiś istniało.

Ach, czego to ja nie widziałem  
tam na tym Półwyspie Faoh.

Zielone skrzydła aniołów  
rosnące tu w islamskim Raju.  
Być może zabici żołnierze  
właśnie daktyle zbierają.

Ach, tego to ja nie wiedziałem  
na poboju pod Faoh.

## Pierwsza klasa

Pierwsza klasa pociągu osobowego  
relacji Gołdap – Warszawa. Godzina 21,35.  
Wieczór przewozi się w przedziale bagażowym  
bez dodatkowej opłaty.

Nawet dość luźno, minął sezon turystyczny.

Pod oknem rozsiadła się miejscowa  
piękność, wyraźnie pewna swego i roju absztyfikantów,  
którzy zapewne dupczą ją gdzieś w krzakach  
nad jeziorem, nie tyle dla seksualnej przyjemności  
(chociaż, a jakże, także), lecz przede wszystkim po to,  
aby udowodnić swej chłopackiej chandrze, że i  
takie cudo można sponiewierać, ubłocić mu  
biały zadek.

Cudo właśnie wybiera się na podbój świata  
(dzięki narzeczonemu, który wyemigrował  
i zdążył już uciułać trochę grosza). Jedynie  
dlatego jeszcze pozwala się wozić Polskim  
Kolejom Państwowym (które przecież dla jej  
wygody zostały stworzone) –

– czuje się tak pewna siebie, że nawet nie ma  
wzgardliwej miny.

Cokolwiek przytęga. Niechaj nikt sobie nie  
myśli. A poza tym, starsi i bogaci faceci  
bezpieczniej się czują wśród pulchności.  
Lekka nadczynność tarczycy dobrze świadczy  
o nadpobudliwości i mitomanii; co za raj  
dla oszustów matrymonialnych.

Sądząc po stroju, musiały  
przez kilka tygodni tarzać się z właścicielem



komisu, jak jeź nadziewając na siebie  
co popadło. Wszystko to, oczywiście,  
te jabłka i liście, w modnym kolorze blue...;  
na oko około 887 dolarów.

I zupełny, wspaniały brak smaku. Choćby więc  
ze względów estetycznych, powinna być skazana na  
strip-tease.

Koszula, bluzeczka, bluza, płaszcz, półkozaczki,  
magnetofonik ze słuchawkami...: niby nic  
nadzwyczajnego – ale blue.

A przecież kosztowało to więcej ludzkiej  
inwencji i pracy, niż wybudowanie Piramid.

Słowiańska Nefretete nie zamierza ukrywać,  
ma na imię Anka. Ach, zakradłbym się  
do jej grobowca, nie zważając na klątwę faraonów.

To cudo naprawdę jest wieczne. Ponadto  
ładnie pachnie. Od Białegostoku naszego pociągu  
już nie ciągnie parowóz. Ale ty – jak rzecz poeta,  
niejaki Tadeusz Peiper – nadal paruj, ślicznotko!

## wakacje

Wioska w samej źrenicy lasu.  
Co za cisza. Chaty wśród malw. Strumyczek  
jak zesłowieczna fujarka pastusza, żadne  
tam tranzystorowe cudeńko.

Przybyliśmy tu na wakacje, na wypoczynek.  
I bardzo się staramy. Oto moja urocza  
żona i dziatki.

Jak tu spokojnie. Choć miejscowi  
piją, biją się i żrą, nawet o kartofle.  
To należy do natury. Tak samo, jak

odrzutowce, pełnące na horyzoncie  
po huczących górach dwudziestego wieku.

Jak tu bezpiecznie. Niezmordowane  
pająki codziennie na nowo uszczelniają  
krajobraz. Nic się nie przedrze. Ani zło,  
ani dobre.

Demony i anioły kryją się w wierzbach  
i po wykrotach, archanioł bieli się w brzozie,  
nie widać wściekłej piany w rowach melioracyjnych.

Zatrzaśniemy książki, wyrzucimy gazety.  
Nie włamiemy się do telewizora, ani do radia.  
Zabawimy się w ludzkość sami.

Nie będziemy podglądali świata  
przez dziurkę po sęku, ani przez otwór  
po zgubionych kluczach.

Na cmentarzyku pod wzgórzem  
wszystkie wyjścia zostały starannie zasypane

i przywalone lastrikiem. A i kobiety  
wyglądają na zaspokojone erotycznie.

Jak tu pięknie. Przy stodole,  
w stercie połamanych maszyn odnaleźliśmy  
dawne proporcje dziecięce;

a już zapomnieliśmy, że w ogóle istnieją:

synek ze słodką zemstą w oczach  
właśnie obsikuje pokrzywy; widzimy znowu  
olbrzymie trawy, liszki, żuczki i mszyce...

o coś, najwyraźniej, im chodzi w tej  
krzątanie pod słonecznikiem, który kują  
szpaki.

Jak cudownie. Przyjechaliśmy rano,  
tyle już przeżyliśmy, a dopiero południe.  
Doprawdy, czas odnaleziony.

Jakżeż tam w mieście teraz bez nas  
sobie radzą nasze rozterki i kłopoty?

## Salwador Dali

Salwador Dali, geniusz i hochsztapler,  
kabotyń z hakami na merliny zamiast  
wąsów. Błazen.

Być może jednak dzięki  
jego fanfaronadzie możemy zobaczyć  
absurd, czyli nieludzkość ludzkiego  
losu.

Dlaczego to ma być zaraz jakiś  
antropomorficzny demon o trzech głowach,  
z paszczą brontozaura, w wieńcu z czaszek,  
z toporem i wagą,

albo kościotrup, czyli coś  
w rodzaju pestki.

Wyobraźmy sobie, że to w naszym  
ogrodzie dzieje się ta płonąca żyrafa  
z powysuwanymi szufladami i zegarkami,  
co miękną i ciekną! Zgroza  
nie do oswojenia. I obcość.

A my przyzwyczajamy się  
do swego życia.

Można to malarstwo – zlekceważyć.  
Ale Salwador Dali umarł był  
na nowotworową chorobę, która  
rozmiękczyła mu ciało

– nieomal tak, jak on w swoich obrazach  
odkształcał przedmioty!

Krytycy – pisze Z. Kałużyński –  
uznają „pejzaże nowotworowe” z lat 30.  
za najświetniejsze osiągnięcia Dalego.

To upiorne: protoplazma,  
jej halucynacje i wizje artystyczne – nasze  
żywe ciała, jako muzea i biblioteki  
zrozpaczonej galarety, która przeczuwa  
śmierć;

jakbyśmy nie mieli  
swoich własnych, ludzkich nieszczęść.

I po co nam świadomość molekularna.

## Ciągłość bożej kreacji, koniec

Ciągłość bożej kreacji:

cudowne wydarzenia, zawsze pod prąd  
przemijania, przeciw entropii, naprzeciw  
śmierci...;

tu nie ma chronologii – Wielkie Tu i Teraz  
(Byt nierelatywistyczny!). Metafizyczne  
rozstają świadomości, która uciekła  
z Egiptu.

Oto pierwsze zdobycie pustyni: jej horyzont  
staje się czymś w rodzaju Boga: wszechobecny,  
nieosiągalny, tyle wyzwala, co osacza;

róże jerychońskie, z podkrążonymi oczami,  
toczą się, jak Androgyne, na łeb, na szyję,  
szukając wiatru; stado wielbłądów łąta  
przestrzeń...;  
trwało to podobno lat czterdzieści.

Plemiona, mordercze wojny religijne  
o sprawczą zasadę materii... a więc  
wszystko jeszcze w objęciach Wielkiej  
Matki;

potem granicy między Naturą a  
krajną Duchów zaczynają bronić – Wielki  
Mur chiński, rzeźby Azteków i Majów, maski  
tańczących dzikusów...

Tytani, wstępne próby synów  
bożych, na grecką miarę Prawdy,  
która pochodzi z przemocy.

Dwanaście prac Herkulesa,  
Dwanaście przygód Odysa,  
Dwunastu Apostołów...

Ktoś rysuje patykiem (już były!)  
na piasku (już był!) – rybę, która ożywa;  
to o Ewolucji w Ewangelii.

Bóg się ucłowiecza, co by  
to nie miało znaczyć. Rozstaje, ale  
z drogowskazem Krzyża.

Potem rzecz jeszcze z boskich geologii:  
góra przybywa do Mahometa.

Cesarze, demokracje, dyktatury...  
usiłują wynaleźć samoistny świat  
ludzki. Dzwony wykrwawiają się  
na śmierć króla za królem...

A upiory nie dały się przepędzić.

I Żydom nie udało się po raz drugi  
przejść bezpiecznie przez Czerwone Morze.  
Krew. Ogień. Nadpalone Przymierze.  
Łuna śniegu. Koniec.

W Raju będziemy znów mieli dwanaście,  
po sześć u każdej ręki, palców, jak  
Kosmici.

## Bałkańskie słońce, trupojad

*(Notatki do reportażu z podróży  
na Wieczory Poezji w Macedońskiej Strudze)*

★

Srebrzysty odrzutowiec startuje: wspina się, zamarznięta fontanna, wschodzi jak mały księżyc o świcie; unosi jak miecz olbrzyma, zdolny do odcięcia przeszłości...; pocę się, o coś takiego mi chodzi – skropić się: chwilo, trwaj: lemury...

widnokraż, znany dotąd z profilu, z wolna obraca ku nam twarz...  
Gorgona, mamka bogów? Wyrrywamy się z niewidzialnych macek, pępowina grawitacji pulsuje... Lecimy:

odwieczne marzenie Ludzkości; w metalowym pudle pełnym nafty i białka – zrozpaczona wiara w cywilizację: grona bożego gniewu – Guernica, Coventry, Drezno, Hiroszima, Nagasaki (teraz, po latach, kiedy to przepisuję – naloty NATO)... Lecimy –  
dławiający zachwyty, ucisk na żołądku; Wszechświat, jak Bóg, naprawdę myśli fizycznie – ta podróż ma być wyznaniem..., ale czy Mowa to strawi?

jakiś staruszek o ogorzalej twarzy i spracowanych rękach, rolnik zapewne, patrzy przez iluminator, chichocze nerwowo i wykrzykuje: „to tam, tam pośród tych pudełek i patyczków męczyłem się całe życie?”; udają się –

na festiwal poetycki, nad wielkie, jeszcze nie skażone jezioro; będziemy rozprawiać, jak to wszystko opisać; byłem tam już parę razy...

★

Lecimy. Nie widać ludzi. Malarze abstrakcyjniści rozwinęli swoje rulony; cézanne'owskie połacie Podkarpacia, geometryczne plamy Słowacji – widać ustroje społeczne; niecała sekunda dwudniowej wycieczki w Tatry sprzed lat; teraz –



też ponad chmurami, ale już nigdzie, w Niebie, jakby po śmierci; myśli bez korzeni, wszystko o wszystkim, z samego siebie; wiersze?, (w końcu lecę na festiwal poetycki); komu ty lecisz? lecę księżycowi...; medytacje i wizje –

w powietrzu, na wysokości oczu wyrasta gałązka – kwiaty, owoce, pąki, młode i uschnięte listki..., szron i kropelki rosy: wszystko naraz –

przelatujemy gdzieś w pobliżu wieczności (sam na sam ze sobą), albo mam zaburzenia wzroku na wysokości; to trwa; od-tworzenie: ciało staje się słowem? Stewardesa i jej pejotlowe oczy ... –

długonoga gejsza dziękująca za miłą podróż, islamscy wojownicy i hurysa...; czas wraca! Zaczynamy lądowanie: Ziemia otwiera się, coraz szerzej, głębiej - rozkłada łono, jej wchłaniające wnętrzości... przypomina to jednocześnie - pogrzeb, populację i poród;

tym razem udało się, Anteuszu...

★

Niewielkie lotnisko na południu Europy; oniemiająca panorama – gdzie spojrzysz, nadlatują krajobrazy i tłoczą się na betonowej płycie; przedpołudnie, słońce jeszcze przybiera i cień u twoich stóp topnieje, jak kra – dobroduszne oszustwo małych demonów;

nic z tego: paszporty, wizy, celnicy, podejrzliwa staż graniczna, wielkie armie czatujące na rubieżach..., a klęski i kłopoty zawsze dadzą się przemyścić... – Twoja pamięć!, jakby tutejsi nie mieli dość swojej.

Pułapka oczu: szamoczesz się w otaczającym cię tłumie krajobrazu, a myślisz to, co niewidzialne: nieszczęśliwe, piękne, romantyczne Bałkany, w sam raz dla salonowych powieści z dreszczykiem – olśniewające pejzaże i malowniczo okrutny los ludzi...; góry zamykają okolicę za okolicą, horyzont czasu ginie w pomroce...

nawet Aleksander Macedoński nie przeciął tego węża: Pers, w rzymskiej kohorcie, pod tureckim półksiężycem, w greckim mundurze bułgarskiego carewicza, w albańskim kepi albo w hełmie niemieckim...

a ponadto – Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Czarnogórcy, Słoweńcy, resztki Turków i Węgrów...: dwa tysiące lat kostiumowego balu sztyletników; bałkańskie słońce, trupojad...

Śmierć i nieśmiertelność...: mały domek z czerwoną dachówką wyłania się ze stoku jak główka noworodka z krwawiącego ciała rodzącej niewolnicy –

zauważyłeś to dwadzieścia lat temu, kiedy przyjechałeś tu po raz pierwszy; teraz zobaczysz także swoje życie w starych, przydymionych lustrach czasu; zapewne nic przyjemnego.

Popołudnie, twój rosnący cień bałkański zaprasza na powitalną rakię. To, co istnieje, ustanawiają poeci – zapewnia niejaki Heidegger. Podobno zaproszono mnie tutaj, abym zostawił kilka metafor. Gdzieś niedaleko stąd znajduje się pustelnia, gdzie sporządzono pierwszą w świecie cyrylicę. W ogóle jest to młodzieńczy kraj pradziadów.

★

Tylko nie tutaj, nie tutaj, nie podczas tej podróży pociągiem z Belgradu do Bari. Wiadukty i tunele. Dzień i noc. Noc i dzień. Przez kilkanaście godzin tyle nocy i dni. Co kilka minut nowy dzień i stara noc... Nie do wytrzymania. Strach, zmarszczki, plamy wątrobowe pełzną po rękach. Kiepskie dowcipy o tunelach: „weź pan tę rękę, nie pan, tylko pan...”, wchodzi Murzyn, o boże, znowu tunel...”. Postarzałem się. Wszędzie, byle nie tutaj.

★

Znowu w podróży, w aluminiowej czaszce autokaru, poprzez doliny i góry Macedonii – miejsca i pustki, tysiąca oczu za mało... wokół autostrady (przychodzi na myśl Piramida, rozwleczona na setki kilometrów) odsłaniają się resztki starej Planety, z czasów, kiedy, jak wieść niesie, jeszcze nie było księżycy...:

ludzie zdają się tutaj przynależeć raczej do natury, mimo że - jak rzecz Rimbaud - od wieków nie umierali w porach roku; Historia jest tu zjawiskiem przyrodniczym; bliżej tu do niemego nieba, niż na równinach Mazowsza.

Domki, suszący się tytoń, wiązki papryki, winograd, kwietna łuna,  
kosmiczne pojazdy zapory rzecznej, kamieniołomów..., ogrody: lato właśnie  
przemija, w sadach jabłka wracają na Ziemię, między grzeszników...  
młode dziewczęta idą skrajem szosy, ich kazirodcza miłość do róż i  
powoju...;

przydrożna restauracja; ser i rakija: dwa pocałunki; zrywam śliwki z za  
płotu, nikt na to nie zwraca uwagi, słodycz i goryczka ich pękniętych warg;  
i po co ja tu jeszcze raz przyjechałem? fioletowe śliwki, gorzkawa słodycz  
ich śliny; zwidy, nikogo więcej, same wargi, soczyste... przepadło  
na zawsze;

zakwefiona kobieta w czarnej chuście przystanęła przy bramie, czeka  
aż podniesiemy kamery i gwałtownie odchodzi – pokusa i odmowa,  
zaspokojone;

mała wioska, a obrazek godny filozofa; jakiś Leibniz w podartych dżinsach  
i kraciastej koszuli przygląda się arbużowi; monada samoistności;

soczyste, ukrwione wnętrze arbuza... przedsmak pożądania: chłodne  
ciało wyodrębnia się z upału, jak topielec ze ślepej głębiny...; dalej,  
dalej –

niemal nieprawdopodobny obóz cygański nieopodal Bitoli, nie wiadomo,  
czy to przeszłość, czy przyszłość: chatki z odpadów – płaty karbowanej  
blachy, dykta, tektura, beczki po benzynie, opony... jakby po ostatecznej  
katastrofie zaczęto budować świat od początku, od wielkich śmieci. Co  
zapamiętała ta prastara rasa?

przedmieścia; znowu wielkie problemy, widzialne jedynie w szczegółach:  
rząd okien pozaklejanych gazetami...; albo – nie mają na rolety, albo – cały  
dzień chcą czytać stare wiadomości sportowe, albo, po prostu – samo albo;  
co nie daje się wypowiedzieć, trzeba milczeć – mówi niejaki Wittgenstein i  
hordy uczonych lekkoduchów i półgłówek mają alibi w platońskim pań-  
stwie poetów; milczymy, ale jutro będziemy o tym mówili na naradzie  
hodowców języka, o który tutaj wiodą międzynarodowe spory, jak greckie  
miasta o Homera...

★

Skopje, byłeś tu nie raz; idź, zwiedź swoje wspomnienia:

sławetne pasmo wzgórz unosi się nadal nad miastem, geologiczna eschatologia. Trzęsienia ziemi; upadki imperiów, starożytne i nowoczesne gruzy, starożytne i nowoczesne budowle... to zapamiętałem, to jeszcze da się powiedzieć: zegar na zniszczonym dworcu kolejowym (ruina jest Całością, pisał Norwid; zapewne jest – zna swój początek i koniec; nie to co ty, biedny człowieku...) wskazuje wciąż tę samą wieczność;

oto zamieniona na muzeum cerkiew Świętego Spasa, z marmurowym grobowcem młodego rewolucjonisty w podwórzu, w zadziwiająco naturalnym przymierzu; równowaga rozbieżnych nadziei, a więc to nie tu...

w podziemiach cerkwi wspaniały drewniany ikonostas – całe stulecie żmudnej pracy, wtargnięcie w święte wnętrze drzewa: kolumny, postacie, tablice... wycięte z jednego pnia; doprawdy, rzeźba na zewnątrz korony cierniowej; słynne Złote Wrota, tyle że już między nikim i niczym;

wieczór, latarnie i hałaśliwa muzyka w krążącej nad miastem starej, zniszczonej twierdzy tureckiej, rodzimy się i tańczymy na mogiłach; i pomyśleć – stulecia półksiężycy, rzezie i bunty, menstruacje narodów, pieśni wdowiego matriarchatu; matko, matko...; niebo nocne z sierpem, jak dziejowa pogróżka;

w starej dzielnicy bawią się turyści: śpiewy, wiwaty, dym z piezonego mięsa snuje się po uliczkach, dym w oczach, w ustach, dym szukający swojego ognia, dusimy się nim, jak bogowie...: dawni zdobywcy pierzchli, ich czas płonie wolniej, ale także – widzę mułkę szarpiącego się z upartym motorowerem...;

wciąż nie odnajduję własnych śladów: obce miasto, wśród obcych wspomnień obcego człowieka...

ale oto – jakiś nieznajomy przechodzień przystanął pośród platanów, zwykła scenka, a jak – zapytanie: czy komukolwiek, gdziekolwiek teraz ciebie zabrakło? Czy ktoś się martwi o ciebie nieco więcej, niż ty

o tego nieznanego pod platanem?! Tak,

to jest to miejsce, którego szukałeś. Stara samotność cię rozpoznała.  
Witaj, powiada, witaj po latach, czekałam na ciebie.

Witaj, ojczy, synu, bracie, sobowótze, witaj – odpowiadam. O jednego z nas jest teraz na duzo, jak w śnie o sobie; mostem nad Wardarem przechadzają się córki kobiet, za którymi kiedyś się oglądałem...; ale ani mnie, ani ciebie już nie zauważają, czyjeś sny widują jedynie bogowie...

jedźmy już na ten festiwal poetycki.

★

Starożytna kraina, od miesięcy trapiąca przez suszę: pył, dymiące trawy, dygoczące powietrze...; patrzę na okazałe, kamiennie ruiny rzeki, nimfy pierzchły, nieopodal szczątki jakiegoś budynku sprzed wieków, wydają się mniej spustoszone; nawa słońca:

historia i przyroda w nagłej symbiozie upadku; raj odwrócony? Starzejąca się, tęga, pisująca egzaltowane wiersze kobieta przysiadła na złomku marmuru z łacińską inskrypcją. Przepaście świata pomiędzy ciałem i umysłem.

Wchodzimy na coś w rodzaju dziedzińca rzymskiego atrium, wyłożonego kamiennymi płytami – poziomy mur, pomiędzy... Niebem i Piekłem?

To miejsce w jakiś sposób przypomina zaciśnięte usta, w których miota się krzyk sprzed wieków wcale nie łagodniejszych od naszego stulecia, którym tak chętnie usprawiedliwiamy się przed sobą;

na zboczu wzniesienia zaniedbany, zgodnie z religijnymi nadziejami pozostawiony na pastwę wieczności – rzekłbyś: ofiarny – cmentarz mahometan; minarety czekają na kosmodromie.

Piękne miasteczko u stóp wysokiego jeziora: Ohryd; błąkamy się po wąskich uliczkach jak uciekinierzy z Labiryntu; proporce między człowiekiem i światem są tutaj jeszcze zachowane...

ławerna. Ciało chleba, krew wina, pot i łzy; na stole, między naczyniami rozpęknięta brzoskwinia; srom młodej jesieni...

Małeńki placyk, zamknięty ścianą z głazów; koniec drogi. Podejdz. Przejrzyj się w tych starożytnych kamieniach. Widzisz zapomniane wcielenia? No i co - jesteś?

Jestem. Ale jeśli teraz zabiję cię, Minotaurze, do końca życia pozostanę samotny. Jej złociste włosy zsiwiały i wypadły, gorący dotyk minął, wyschła strużka słodkiej śliny... – wszystkie nitki Ariadny zerwane – dusza moja, nie mam gdzie wracać;

jestem gotów posłuchać wybitnego poety właśnie recytującego wiersze w Świątę Sofii z Ohrydu; miał tańczyć, tymczasem potyka się o słowa, taka nowatorska maniera....

★

Wielkie i czyste wody ohrydzkiego jeziora.  
Nie mąci ich nawet granica państwowa.  
I co mnie podkusiło, po co ja tu znów przyjechałem?  
Czemu mi nie starczała piękniejąca pamięć?

Miasteczko Struga jest teraz kurortem. Wytarzani w słońcu młodzi chłopcy nadal nurkują w kaskadzie.  
Ale mężczyzna wsparty o balustradę nad groblą patrzy na mnie z rosnącym przerażeniem,

jak na zjawę, nagle przestaje mu smakować

całujący go w usta krwawy owoc granatu,

soczyste usta jakiejś pięknej zmarłej, nagle zamienionej w wampira.

Chuda starucha pojawiła się na plaży,

idzie powoli, splatając i rozplatając warkocz z trupich i złocistych włosów...

I po co ja tu znów przyjechałem? Wysepka  
Św. Nauma; piknik stu poetów – ludowa kapela, beczki  
z winem, mięso jagnięcia... Marta Nowosad wciąż tańczy  
swoje ostatnie lato, Ostromecki i Sprusiński dyskutują  
zawzięcie, Miron Białoszewski zamknął się w hotelowym  
pokoju; czeka, aż jasna smuga dziennego światła w szparze  
pod drzwiami znudzi się i odejdzie...; starzy poeci umierają,  
las przed nami rzędzie. Czy ja to wszystko muszę  
przeżyć raz jeszcze?

Wybacz mi, sobowtórze, bliźniaku o tyle lat  
młodszy; twoje młode ciało płacze we mnie;  
mam czego chciałem. Zanurzam się w wielkie  
i czyste Jezioro Ohrydzkie po raz ostatni, jak  
w wody płodowe, jakbym się miał odrodzić;  
chrzest całopalny... górzysty krajobraz w roli  
Jana Chrzciciela;

współczujące roje maleńkich rybek, symbol  
Chrystusowy, podpływają, trącają pyszczkami,  
jak topielca, którego od dawna znają;

piękne pożegnanie, Strugo, nie wiem, czy na nie  
zasłużyłem. Zmarnowałem życie, jeśli dzieli mnie  
ono, miast łączyć...;

odnaleźć się w swoim życiu, cóż może więcej chcieć  
człowiek. Co z tego, że musiałem czymś karmić  
nienasycone wiersze.

Moja młodości, tułająca się tutaj, w tym – rzekłbym:  
wspaniałomyślnym – pejzażu, jak cień w otchłani;  
w każdym razie, któryś z nas umarł, syjamski bracie...

być może po to właśnie przyjechałem: otworzyć  
groby i sprawdzić. Na brzegu sobie stoję, kopię dołek  
w jeziorze...

*sierpień 1987 - styczeń 1988*

*Boże, Boże, i po co ja to napisałem?*

*Te wizje czyły się we mnie; niby dzin w butli z rakiją.*

*A rzeczywista krew, gwałt i mord tliły się tam cały czas,  
niewidzialne w jaskrawym słońcu...*

*Pisząc, łudziłem się zapewne, w pysze własnej udręki:*

*to tylko ja żegnam się ze sobą, to tylko mnie nachodzą  
moje prywatne upiory...*

*A przemawiał Duch Miejsca!*

*I owe, tak dojmujące, wrażenie ostatecznego pożegnania,  
którym się tutaj bezkarnie zachłystuję...*

*A to tam, na Bałkanach już wtedy się coś kończyło.*

*kwiecień 1999 r.*



## zamiast dedykacji

A...

A jednak szkoda, moja piękna,  
młoda przyjaciółko, że jestem stary  
i niedługo umrę, a mój cień będzie  
nosił innego właściciela.

Na tym świecie żyje tyle przeżyć,  
o których nawet nie śniłem. Życie  
więcej miało mi do zaoferowania, niż  
sądziłem.

Zawsze chciałem być lepszy,  
niż byłem. A przecież mogłem,  
a już nie zdążę, chociaż bywać inny!



## Andrzej Zieniewicz

# Intruz niezbędny

Jeśli prawdę mówi zwrot, że wiersze się układa, to Krzysztofa Gąsiorowskiego ulubionym sposobem ułożenia tekstu – niby w kołysce – byłaby chyba figura „zdumienia, że jest przeciwnie”.

Przeciwnie niż nam się wydaje – bo to my wydajemy się komuś (Bogu?, nieskończoności?), przeciwnie niż wyglądamy „na pierwszy rzut oka”, bo dopiero zrozumiane jest naprawdę zobaczone, przeciwnie niż... przeciwnie niż...

W rezultacie – jak poeta powiada w jednym ze szkiców – poezja to wyprawa ratunkowa do zagubionego sensu. Bo wiersz jest wyspą oczywistości na oceanie rzeczywistości.

Jakiej rzeczywistości? Historycznie zdumienia Gąsiorowskiego sięgają początków lat sześćdziesiątych, kiedy w artykule *Koniec czarnego poloneza* ogłaszał, że świadomość powszechna rozwija się skokami, co miało znaczyć, że on i cała formacja (mowa o Hybrydzianach) nie będą kruszyć kopii w walkach politycznych, ponieważ są od stu kilkudziesięciu lat pierwszym pokoleniem, które wypadło z czarnego korowodu naszej narodowej tradycji. Co prawda ich historyczna stabilizacja wkrótce okazała się mało stabilna, ale słowa o skoku świadomości były ważne, ponieważ deklarowały chęć odkrywania nowych, nieznanych dotąd potrzeb literatury.

Jakoż właśnie u początku szóstej dekady w Polsce z oceanu polityki wyłaniała się wyspa nieznanego. Nieznanego egzystencjalizmu i nieznanego fenomenologii, nieznanych tłumaczeń Cendrarsa i nieznanego Eliota, a także Beatlesów i filmów Felliniego.

Komu to jednak było nieznanne? Ano nam – ludziom urodzonym w latach trzydziestych i czterdziestych. Chcę rzec, wcześniejsze roczniki (np. Białoszewski, Herbert) miały z „nieznany” inne układy. Pamiętali dobrze albo słabo czas przedwojenny, PRL był dla nich konsekwencją Jałty, a nie realnością, w której wzrastali. Gdzieś wysoko Miłosz czy Andrzejewski rozgrywali swoje dylematy (wyjechać czy zaakceptować?), Różewicz wciąż pytał, co zrobić z poezją po Oświęcimiu, Woroszyłskiemu i Konwickiemu literacką młodość wypełniło hurramarksizowanie, Hłaskę urzekły filmy z Humphreym Bogartem – a dopiero od Grochowiaka w dół zaczyna się

demografia poetów, którzy (gdy wyciszyły się manifestacje Października 56 i odwilż zaczęła przynosić efekty) docierają do nieznanych potrzeb literatury, tj. do zagadnień „niepotrzebnych” ani socrealistom, ani antysocrealistom, i to oni właśnie: Gąsiorowski, Górzański, Żernicki, Wawrzekiewicz, Jerzyna, Bordowicz zachłystują się filozofowaniem (pić już umieją) w klubie „Hybrydy”, a nie polityką i losami Polaków.

To był czas *Ubu króla*, Mrożka i odkrywania Gombrowicza. Egzystencja poprzedzała esencję, czerwone krawaty (z węzłem na gumkę) butwiały na dnie szafy. Po trzecim piwie zapytanie, jak są możliwe sądy syntetyczne a priori, wcale nie wydawało się egzotyczne.

nasze myśli i wyobrażenia  
po prostu same gdzieś się tam kończą,  
jak gałęzie, łudząc się że napotkały opór  
Obecności  
– to tak jakbyś w ciemnościach i  
zadymce śnieżnej wyciągnął jak mógł  
najdalej rękę,  
i sądził, że natrafiłeś na ścianę  
schroniska (\*\*\* *Treny boże*)

W tak zmienionym klimacie literatury Gąsiorowski, wraz z innymi poetami lat sześćdziesiątych, odkrywa dwie zagadki naraz: zagadkę Symbolu i zagadkę Świadomości. Odkrycia te jednak dokonane zostają bez (lub prawie bez) wsparcia krytyki, ponieważ najpierw – formacji „Współczesności” Hybrydzianie wydają się wnuczętami (vide znany artykuł Juliana Rogozińskiego), a po wtóre – właśnie wtedy rozwijający skrzydła strukturalizm (*Koncepcja języka poetyckiego Awangardy Krakowskiej* ukazuje się w 1964 r.) nadrabiał zaległości i przerzucał mosty do tyłu, ku Zwrotniczanom, Kridlowi, formalistom rosyjskim. „Do przodu”, ku fenomenologii, hermeneutyce nie pracował wtedy nikt prawie (nieznane potrzeby) i te doświadczenia: kultury jako przestrzeni wiary, współ-czującej obecności drugiego człowieka, świadomości między istotą a zjawiskiem, osoby wobec transcendencji – znajdowały sobie wysłownienia poniżej poziomu Historii albo Struktury, więc po trosze w narzeczach, jakimi mówią pluszowe zwierzątka Osieckiej, a po trosze w ciemnych konwersacjach prosto z Dostojewskiego i Kafki. W kabarecie śpiewano: bo to wszystko nie tak, nie tak...

Nowa wrażliwość zostaje więc sama, ze swoimi symbolami (magia i mitologia róży, ptaka, ryby) oraz udręczeniami Ja – przede wszystkim o d d z i e l o n e g o. Gdzieś tu jest ów skok, o którym mowa. Jeśli Białoszewski pisze (powojenne w istocie) ody radości do przedmiotów (do szafy, durszlaka), to Gąsiorowskiego parę lat później, rzecz można, wcale nie zaprzęta to, w jakiej socjalności uczestniczy (w jakim korowodzie płąsa) – rzeczy odbijają już tylko świadomość i samotność. Trudno o kogoś, z kim można dzielić radość.

Przejrzyj się w ścianie,  
Przejrzyj się w podłodze,  
W stole, tapczanie, regale z książkami:  
Przejrzyj się w drzewach,  
które o świtanie w ostrych profilach  
przechowują noc.

O drzewa – niskie ścieżki do gwiazd.  
Dłonie są gwiazdą ledwie zabliznioną.  
Jedynie czółno naszych warg na niewidzialnej rzece  
Pocałunku  
Właśnie odpływa.  
Nikogo nie ma, kto przyzna się do nas.

*(Na ciężkim skrzydle...)*

Takie właśnie były lata sześćdziesiąte. W dominującej dziś perspektywie: aura symboli i porzucony międzyczas. Po październiku, przed marcem. Nikt się do nich nie przyznaje. Ani do okularników, ani do radia „Szarotka”, ani do czynów społecznych. Jeśli więc Hybrydzianie naprawdę są wnuczętami, to warto pamiętać – z jak bardzo dysfunkcyjnej rodziny.

W czynie społecznym  
sadziliśmy na młodych gruzach  
młode drzewka

a teraz park wieczorny  
tarza się w swoich roślinnych  
wiecznościach

jak gdyby tutaj nigdy nic  
się nie zaczynało

(*W czynie społecznym...*, Kirke)

Jedną z trudności opisu poezji Krzysztofa Gąsiorowskiego jest taka właśnie niepochwytność – przynajmniej w języku szczeropolskich uproszczeń – społecznego tła wiersza. Ta poezja też nie zaczyna się, nie ma swoich miesięcy. Ani wynika z 56 roku, ani z 68, pisze własny kalendarz, bliższy archeologii niż gazecie. Gdyby jednak zapytać, wedle jakiego datownika Gąsiorowski liczy, to zapewne s k a l ę jego rozmyślań opisuje zmieniona odpowiedź na pytanie Różewicza, czy poezja jest jeszcze możliwa? Gąsiorowski mówi: tak, jest możliwa, bo choć pytanie nie straciło ważności, to zmieniło położenie. Świat przetrwał, znowu jemy owoce, ale tuż za oknem zwyczajności pozostało tamto. Jak *Księżyc kuzynki Anny*, jak *Gemmy z kości policzkowej*, jak groza objawiona nagle pomiędzy spekulacją metafizyczną a dziecinną pamięcią Powstania Warszawskiego. Teraz poeta teoretyzuje to, czego się boi. Wiersz objaśnia pewien porządek antropologiczny, nieuniemożliwiony raz na zawsze, lecz o d b i e r a n y przez ostateczności wojny i holocaustu. Na pozór wszystko jest normalnie, ale...

Wieczór, stół w ogrodzie,  
do talerza na owoce skapuje  
noc.

Nie jest czarna, nie jest biała,  
nie jest tęczowa; jest niewidzialna.

I skapuje. Skapuje. Talerz  
jest pełen nocy. Czas iść spać.

Chodź ze mną.

(*Chodź ze mną, Gemmy w kości policzkowej*)

Bardzo charakterystyczne dla Gąsiorowskiego jest to postrzeżenie ostateczności XX wieku wewnątrz pewnej ogólniejszej zagadki metafizycznej, która przez to zabarwia się grozą. Historia – łodyżka krwi, jak powój pnąca się po Wieży. Ryby, dla których Potop trwa dalej, więc musiały się przystosować. Przepych skrzydeł czarnego anioła, gdy przysiadł na kamieniu w przerwie na papierosa. „Może” – jako epitafium na śmierć świnki morskiej... Cała ta wiedza o czarnych wymiarach bycia, kosmosu,

nieskonczoności nieustannie pracuje na nasze utrzymanie (sensu istnienia), to nią właśnie przepychamy się przez codzienność. W (słynnym już) porównaniu poety i dżdżownicy Gąsiorowski zauważa: tyle przebrnę, ile przelknę.

Ta postkatastroficzna (albo, jeśli kto woli, wyprzedzająca postmodernizm) aura jego poezji wydaje mi się ważna. Otula c o ś, co zaszło „za Gomułki” i nie zostało nazwane. Ponieważ brak plam na słońcu szóstej dekady nie oznacza, że było spokojnie. Przeciwnie – właśnie na ten czas przypada powolne i ciche przeorganizowanie zbiorowej świadomości. Myślowe przechodzenie od świata dalekiego już powojnia (także pozimnowojnia) do realności, w której punkty fundamentalne nie zostały wyznaczone, i każdy musi je rozpoznawać na własny rachunek. Nowa Fala została potem wypadkami wepchnięta w koleinę polityczności, i niejako powtarzała znany scenariusz – sytuacje intelektualne Gąsiorowskiego (niezależnie od tego, jak sobie z nimi radzi) pod pewnymi względami bardziej przypominają dzisiejsze lata: postmoderny. Spory i walki rozegrane; ich długi ogon jak kometa rzucona na pół nieba, ale rytm współczesności nadają inne zjawiska. Trudno orzec, jakie – lecz i wtedy, i teraz martwiąca w ogólnikach propaganda miała swój negatywny odpowiednik w socjalności najbardziej „sprywatyzowanej”; w świecie pragnień i wśród najbliższych. Ludzie są ostatecznym adresem tej poezji; jak Irek Ireduński, rok po śmierci zobaczony w taksówce (*na górze nie zaliczono mu... musiał powtórzyć*), jak nieuleczalnie chora kobieta pisząca list za listem (*umawia się na dalekie wycieczki*), jak niekomunikatywność (*Zwierzasz się, a ja słyszę tylko to, co chcesz Ci powiedzieć!*).

Stąd charakterystyczny (łatwo rozpoznawalny) język wiersza Gąsiorowskiego. Niby konstruktywistyczny i spekulatywny, ale... Może najprościej byłoby powiedzieć, że ta poezja w i e o Awangardzie Krakowskiej, Przybosiu, lingwistach – z upodobaniem uprawia skrót myślowy i daleką metaforę – lecz inspiracji szuka gdzie indziej, u Rilkego, Wata, Leśmiana, Różewicza, czyli wśród filozofujących symbolistów, i (przede wszystkim) na ciemnych ścieżkach kłopotów z istnieniem, a nie w zaufaniu do sprawności wiersza. Idiom Gąsiorowskiego organizuje sytuacje zwierzenia, rodzi się z biografii, nie z techniki poetyckiej, i ustanawia (za Watem) raczej jakąś odmianę powagi słowa dotykającego spraw najważniejszych niż figury stylistyki zawilej lub obliczonej na olśnienie odbiorcy. Im późniejsze liryki, tym mniej w nich paradoksów i poetyckich definicji, a więcej: mówiącego człowieka, po prostu. Na przestrzeni tomu

widać jak Gąsiorowskiemu zaczynają służyć coraz prostsze słowa i układać się zdania otwierające c o ś, dające jakiś klucz, ukryty nie w grach semantycznych, ale jakby w personalnej narracji, w samym kontakcie z kimś, kto zwierza się i opowiada. W czym znowu łatwo dostrzec klamrę łączącą lata sześćdziesiąte ze współczesnością. I tam, i tu Polskie Motywacje odłożono do lamusa, co atoli od razu ujawniło jakąś bolesną zdawkowość, czy niewystarczalność komunikacji społecznej, fikcje mówienia w pustkę – jakby zbiorowość umiała porozumieć się tylko na kilka Wielkich Tematów. Jeśli one nie wiążą, tracimy orientację na morzu przygodności – i w tym sensie cenne staje się samo podjęcie kontaktu. Fakt, że mówimy do kogoś i oczekujemy odpowiedzi (jakbyśmy chwyтали za rękę), bywa wtedy ważniejszy od rewelacji, które mamy do przekazania.

A to znowu dziwnie przypomina szkice Gąsiorowskiego sprzed trzydziestu lat o poezji jako wyprawie ratunkowej i wyspie oczywistości na oceanach „realizmu”. Wtedy umykały uwadze; dziś zyskują nową czytelność.

Lecz zostawiając już sprawy pokoleniowe i metafizykę historii grozą podsztyej, warto podnieść kwestie mniej posępne, a ważne. Gąsiorowski to jeden z kilku (najwyżej) poetów dzisiejszych, których nie opuszcza poczucie humoru. Najtrudniejszym sprawom jego tekstów nieodmiennie towarzyszy wspaniała dekoracyjność i vis comica. Autor *Mojej starej nagiej maszyny do pisania* kocha piękną frazę, na niegdysiejszy ład retoryczną. I kocha mówić o sobie stylem ironicznym, lecz ciepłym. Bywa Hłaską (*pieprzeni hodowcy żalu*) i Pawlikowską (*dwa gołębie temu*), pokpiwa z deklamacji Herberta i świętego chaosu nowej fizyki, pisze wiersze erotyczne, by im zaraz zaprzeczać, leje łzę, na którą mnie nie stać, albo (co wychodzi mu świetnie) zamienia swoje podmioty w narratorów, każąc im opowiadać. O pijaństwie z Rudą, o węgorzach i hienach, młodych i nagich kometach – tzn. sposobem Gąsiorowskiego na bogactwo świata jest nie tylko refleksja, ale sylwiczność i fantazjowanie. *Pasterz kryształu* to zupełnie niezwykle tom poetyckich science-fiction, których istotą są najróżniejsze „pozaludzkie” punkty widzenia. Książka prozy: *Warszawa jako kosmos wewnętrzny* zawiera podobne „pozapolskie” przesłania: *Dziwny kraj, pełen win (i zrad) tylko innych ludzi*. Niewiele tutaj istnieje rzeczy i spraw prawdziwych poniżej mitu... Lecz właśnie poniżej mitu – lub jeśli kto woli, irytująco powyżej tego, co łatwe – ulokowała się poezja Gąsiorowskiego. Jej autor mówi o sobie: *intruz niezbędny*.

Ale może dość tych zachwalań. Na ile rzeczą prawdziwą jest niniejszy tom wierszy, niech przekona się sam Czytelnik.



## Spis treści

Dwa gołębie temu	6
*** (Pomiędzy, czyli iskra...)	7
Cztery tysiące lat snów erotycznych	8
Cztery tysiące lat snów erotycznych	9
Io	10
Kobieta z różowych jaskiń	11
Chudy podłotek...	12
Aga	13
Kto to?	14
Śmierć jest kobietą	15
*** (W czynie społecznym...)	16
Ślimak na szosie	17
Treny boże	18
Treny boże	19
*** (To tylko nasza skończoność...)	20
*** (Klejnoty królewskie...)	21
*** (Późne popołudnie...)	22
Spółka n.o.	23
Postać w czerni	24
Starzejesz się stary...	25
*** (Święty Grzegorz...)	26
Wieża	27
Larwa	28
Kiriłow, czyli Wielkie Twierdzenie Gödla	29
Arka	30
*** (Ciężkie, miodowe złoto...)	31
My, Jego czułki i parzydełka	32
Nike z Samotraki	33
*** (Dlaczego nie zdołałeś...)	34
Zygmunt i Ola	35
Wybrałem	36
Ale nie na pewno	37

Moja stara, naga maszyna do pisania	38
Bajka o kózce i wilku	39
Przesady i zabobony	40
Rokoko	41
Kret	42
Perpetuum mobile jest jednak niemożliwe	43
Słowo się rzekło	44
Ucieczka	45
Kirke	46
Wiersz dopełniony po latach	47
Kirke	48
Ona jest także	49
Przebiśnięg i przyłasczka	50
*** (Dwa błękitne słońca...)	51
Cztery izdebki...	52
*** (Jeszcze przed świtaniem...)	53
Park księżycowy	54
Ona to milczy	55
Śpiew śniegowego bałwanka	56
*** (Przyjęło mnie życzliwie...)	57
Zaćmienia...	58
Chipsy	59
Co byś nie mówił...	60
Połczyn Zdrój	61
*** (Zmierzcha się...)	62
Już umie...	63
Ogłoszenie matrymonialne	64
Trywialne próby pojednania	65
Gałąż	66
Gemmy w kości policzkowej	68
Na śmierć świnki morskiej	69
W ogrodzie	70
Z Grecji, gdzie nie byłem	71
Irek Ireduński zażądał, aby go spalić po śmierci	72
W przerwie na papierosa	73
*** (Sypie śnieg...)	74
Sroka	75
Przedwiośnie	76

*** (O, Ty otaczające jaskinię platońską...)	77
Nocna ucieczka	78
*** (A więc to jest owo słynne...)	79
*** (Przeglądam swoje dawne słowa...)	80
Gorgona, mamka bogów	82
*** (Jak dotkliwie, doprawdy...)	83
Krople	84
Gołębie	85
Historia naturalna pewnego pojęcia	86
Językoznawstwo na poziomie elementarnym	87
Strzegące chaosu świata...	88
Fizyka	89
Złudzenia...	90
*** (Co też wyrzuca na brzeg...)	91
Mewy	92
Na lotnisku w Rzymie	93
*** (Plamista liszka na kamieniu...)	94
Widno jeszcze...	95
Wiry	96
Chwila słabości	97
*** (A może rzeczy i przedmioty...)	98
Fonie i wizje	99
Nie żałuj...	100
Pasterz kryształu	102
Cytaty	103
Polowanie	104
Maszyna	106
Młynarz Jon	107
Ballada o Romeo i Julii	108
Świecąc	110
Yyell, pieśń miłosna	111
Rozmowa	112
*** (Równoległe wszechświaty Wheelera?...)	113
Pijaństwo z rudą	116
Dureń z innymi durniami...	117
Płaczące matki	118
W związku z Gogolem	119

AIDS	120
Flora	121
Pejzaż z motylami	122
Diabeł i życie	123
Z wizytą	124
Cyborg	125
Z albumu pijatyk	126
Poematy	128
Świecące forsycje	129
Ekspedycje mistyczne...	131
Pobojowisko pod Faoh	133
Pierwsza klasa	136
Wakacje	138
Salwador Dali	140
Ciągłość bożej kreacji, koniec	141
Bałkańskie słońce, trupojad	144
Zamiast dedykacji	153
Andrzej Zieniewicz, <i>Intruz niezbędny</i>	155

